

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok XII

Warszawa, dn. 11 marca 1956 r.



119013

Nr 10 (536)

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

O MODLITWIE NIEUSTAJĄCEJ

SZCZYTNE idee i hasła dotyka nieraz los podobny temu, jaki staje się udziałem poetycznych metafor: przez częste użycie, wykorzystywanie w każdej, często nieprze-myślanej sytuacji tracą one blaski i czystość świeżości, odkrycia — stają się komunalami, dzwiczającymi pusto, bez echa w ludzkim umyśle i sercu. Jeśli się temu procesowi nie przeciwdziała — może się on rychło stać przyczyną zdrady idei, rozmiętej na slogany, przez ludzi, którzy odchodzą od niej, by szukać prawdy na innych drogach.

Byłoby grzechem pychy — a jakże często ten właśnie grzech nam grozi — gdybyśmy sądzili, że katolicyzm jest wolny od niebezpieczeństwa sloganu. Przekładając tysiące stronice książek i czasopism, słuchając dziesiątków kazań, biorąc udział w rozlicznych dyskusjach — możemy się łatwo przekonać, jak najszaconniejsze dla nas pojęcia i słowa: Bóg, wieczność, zbawienie — stają się niepostrzeżenie dla piszących i wypowiadających je czymś w rodzaju drobnej monety obiegowej, dostępnej każdemu, wszędzie i zawsze — jak te pojęcia, wstrząsające swoją potęgą i głębią, coraz bardziej i coraz łatwiej gubią swój jedyny, niepowtarzalny sens i wartość. Treść naszej wiary oddajemy w ten sposób niedbale i łatwo na łup konwencji: a jeśli na dźwięk określających ją słów nie budzi się w nas żadna własna myśl, czyż mogą takie słowa stać się pobudką do czynu? I oto, stajemy przed niespodziewaną, ale prawidłową konsekwencją zamiany części (a może i całości?) naszej wiary w slogan: uczyńki oddzielają się od wytyczających je przykazań, życie przestaje być świadectwem danym katolicyzmowi...

Zrozumiałem „Listy do przyjaciela”¹⁾ właśnie jako walkę wypowiedzianą zamianie katolicyzmu na slogan, na słowa brzmiające z pozoru donośnie, w istocie zaś odbijające się, niby piłka, od uszu ludzi, nieprzenikające do ich wnętrza. Książka to zresztą bardzo niespodziewana — nie dlatego jednak, że powiesiociararz chwycił naraz za pióro moralisty i ideologa, zdarza się to bowiem w literaturze dość często. Slegamy po taką książkę zazwyczaj nie po to, aby dobrze znane pojęcia napelnic nową treścią, lecz żeby wzbogacić przeżycia estetyczne, urozmaicić nowymi barwami otoczkę emocjonalną słów, w których wyraża się nasza wiara. Otóż tego rodzaju doznań książka Gołubiewa zupełnie nie dostarcza i pewne koncesje pisarza na rzecz (znowu) konwencji literackiej, w rodzaju poetyzujących wstawek w tok publicystycznej narracji, niepokoją tylko i drażnią czytelnika. Gołubiew walczy ze sloganami inną drogą: nie zamienia już wytartych pojęć i sformułowań na jeszcze nieużyte pojęcia i sformułowania — ale drogą wywodu, argumentów apelujących głównie do rozumu, próbuje zetrzeć pleśń narosłą na istotnych dla nas problemach i sprawach. Ten niewielki tomik jest bowiem książką pierwszej pomocy dla katolickiego czytelnika — pierwszej pomocy w modlitwie.

Każdy światopogląd posiada pewne aspekty, szczególnie uwrażliwione na skostnienie i formalizm. Dla katolików taką „piętą Achillesową” jest — paradoksalnym zbiegiem okoliczności — właśnie modlitwa. Paradoksalnym — bo rozmowa z kims najbliższym i najważniejszym — a nią właśnie winna być dobra modlitwa — z zasady niejako wyklucza konwencję, suchy schemat, brak osobistego, żywego zainteresowania i zaangażowania. Pojęliśmy — jak się zdaje — cichość, niewidoczność modlitwy, nakazywane przez Chrystusa,

jak najopaczniej: jako czynność najzupełniej prywatną, którą — z tej racji, że jest intymna i własna, że jej nie ma nikt prawa kontrolować — możemy układać absolutnie według własnego widzimisię. Swoboda w modlitwie zamienia się wskutek tego u wielu na samowolę; samowola zaś to zadośćuczynienie własnej, bardzo pierwotnie pojmwanej, wygodzie, której w sferze myśli i słów chętnie służy slogan. W książkach podręczniczych można często spotkać opisy buddyjskich młynków do modlitw; jakże często terkotem takiego młynka staje się nasza, poranna i wieczorna chociażby, rozmowa z Bogiem. Odklepywane słowa Modlitwy Pańskiej i Pozdrowienia Anielskiego, odbębniane dziesiątki Różańca, odczytywane ze starannie ukrytą nudą modlitwy z książeczki do nabożeństwa, a nawet mszału — oto modlitwa, która jest nie rozmową, ale odrabianiem pańszczyzny.

Książka Gołubiewa nosi podtytuł: „Gdy chcemy się modlić”. Ale nie jest to publikacja fragmentów prywatnego modlitelnika pisarza. Gołubiew przekonuje: modlitwa jest dla nas, Bóg chce, żebyśmy z Nim rozmawiali, nie dla swego, ale dla naszego pożytku. Modlitwa powinna być skupieniem się, zwracaniem w sobie wszystkich naszych sił przed każdym istotnym wysiłkiem, przed każdym dniem — i po nim. W modlitwie uświadamiamy sobie zwykle w krótkim błysku — nie formułując tego często wyraźnie — to, w co wierzymy, czym się kierujemy, całą treść dogmatyczną i etyczną naszej religii. I dlatego slogan, który zabija naszą modlitwę, zabija i nasz katolicyzm; ofiarowana mu chwila pożera wszystkie nasze codzienne czynności, wdziera się w każdą godzinę i minutę naszej pracy, odpoczynku, zabawy. Od tego, jak się modlimy — a modlić się możemy, przekonuje Gołubiew, jednym słowem: „Ojciec” — zależy wlec sens lub bezsens naszej codzienności.

Gołubiew chce nas pobudzić do modlitwy na miarę wymagań czasu, w którym żyjemy. Jest wielką prawdą, że katolik polski roku 1956, który swojej wiary nie traktuje jako kłopotliwego spadku po rodzicach i tradycji, ma wielkie trudności ze słowami i pojęciami, w których wyraża treść swoich przekonań — którymi się modli. Chcielibyśmy, aby wiara nasza pozbawiona była jakiejś mdlącej, sentymentalnej słodyczy, aby można ją było przeżywać i brać na każdy dzień, na każdą jego godzinę, aby na czas

modlitwy można było — głębiej i pełniej — w życiu tkwić, a nie wyłączać się z niego, nie stwarzać jeszcze jednego pozoru przeciwstawności modlitwy i życia. W rozważaniach Gołubiewa znajdziemy wiele materiału potwierdzającego słuszność naszych pragnień. Jest w jego „Listach” jakieś głębokie przeświadczenie, że tylko życie, które twórczo rozwija wszystkie zawarte w modlitwie możliwości i okazje, zależki czynów — godne jest naprawdę nazwy „życia”, odpowiada w rzeczywistości pozycji człowieka w porządku stworzenia i odkupienia.

I to jest również celny cios wymierzony sloganom panującym się w katolicyzmie. Slogan usuwa określoną sobą sprawę na margines życia, praktycznie — odrywa ją od niego. Katolicki slogan nie pozwala na twórcze (czego niezbędność tak Gołubiew podkreśla) przepojenie katolicyzmem każdej sytuacji życiowej, każdej naszej myśli i każdego postępków. Slogan morduje w zarodku — nie pozwalając się jej rozwijać — tak potrzebną katolikowi czujność, wrażliwość na wszystko, co mogłoby nie zgodzić się z naszym sumieniem, z naszym zadaniem do wypełnienia w życiu. I rzeczywiście: jakże często rzucamy Bogu i drugiemu człowiekowi w modlitwie i życiu skąpą jałmużnę, ochlap, na jaki nasze lenistwo zamieniło piękne słowo i dobry uczynek.

W rozważaniach Gołubiewa życie i świat pełnią więc niezwykle ważną funkcję punktu wyjściowego każdej niemal refleksji pisarza. Autor „Listów do przyjaciela” jest empirykiem, uznając w całej rozciągłości autonomię świata nadprzyrodzonego, uważnie wypatruje każdego refleksu nadprzyrodzonego w życiu doczesnym, podobieństwa do Boga w człowieku. Gołubiew osiąga swój cel prostą a zapomnianą przez filozofów metodą: przypomina nieustannie o analogii (nie: identyczności!), którą winniśmy zawsze mieć na uwadze, gdy mówimy o sprawach Boskich, o naszym pojmowaniu Boga, o Jego stosunku do nas. Tutaj zostaje odebrany ważny atut sloganom, panującym się w katolicyzmie: unikamy sprzeczności, która w wypadku zarozumiałej próby wyczerpania ograniczonym zasięgiem słowa nieograniczonej treści Bożych spraw i przymiotów musi zadać gwałt naszemu zdrowemu rozsądkowi. Jeśli więc na przykład pojmujemy dobroć Boga, tak jak dobroć człowieka, chociażby pomnożoną



Honore Daumier: Męka Pańska

przez miliard — zamieniamy owo, potężne zawartą w sobie nadzieją, pojęcie na sucho brzęczące słowo, któremu tylko nasze posłuszeństwo nałożymy sobie rygorom nie pozwala się przenieść w sferę bajki i fantazji. I właśnie dlatego oparta na zasadzie analogii metoda myślenia o rzeczach i problemach niedostępnych poznaniu empirycznemu wydaje mi się najcenniejszym darem, jaki przynosi swoim czytelnikom książka Gołubiewa. Zapewne, metoda to nie nowa, znana dobrze filozofom, szczególnie zaś tomistom, ale Gołubiew odbiera tej metodzie pozór jednego z kanonów mędrców, specjalizujących się w

wiedzy o bycie — czyni ją własnością każdego myślącego katolika, narzędziem codziennego użytku, śmiertelnie godzącym w slogan.

Slogany drażące katolicyzm nie tylko odgradzają murem modlitwę i wiarę od życia i świata, ale też kopią przepaść między wierzącymi i niewierzącymi. Rozumiem to dobrze autor „Listów do przyjaciela” podkreślając brak istotnych przegród między ludźmi uczciwie dążącymi do prawdy. Dlatego wydaje mi się nieporozumieniem zacieśnianie — przez dotychczasowych recenzentów — książki Gołubiewa i jej oddziaływania tylko do kraju katolików, i to katolików o szczególnie rozwiniętym życiu nadprzyrodzonym. Oczywiście, tacy czytelnicy będą łatwiej rozumieli i przyjmowali treść rozważań pisarza — ale „łatwiej” nie znaczy bynajmniej w tym wypadku „bardziej” i „lepiej”. Odrzucanie przez wielu ludzi prawd katolickim wywodzi się zwykle z błędnego, powierzchownego ich odczytania, z rezygnacji z głębi ich treści znów na rzecz sloganu. Sądzę, że właśnie pod tym względem książka Gołubiewa posiada ogromną zasługę przypomnienia sensu nadużywanego w wielu katolickich organizacjach religijnych słowa (nie pada też ono w „Listach do przyjaciela” bodaj ani razu): „apostolstwo”. Zwracanie uwagi przede wszystkim na to, co łączy katolików z wszystkimi ludźmi, mądra tolerancja podnosząca do ogromnej godności każdą rzetelną pracę każdego uczciwego człowieka, troskliwe uwypuklanie nie przykazań zakazujących grzechu, ale dwóch nakazujących miłość — oto środki, przy których

pomocy Gołubiew zwalcza najgroźniejsze ze sloganów. I dlatego sądzę, że książka Gołubiewa potrafi pomóc nawet przeciwnikom katolicyzmu: takim mianowicie, którzy szukają prawdy o nauce Chrystusa!

Słyszałem kiedyś opowieść Gołubiewa o tym, jak powziął postanowienie napisania „Bolesława Chrobrego”. Pisarza siedzącego w kościele św. Wojciecha, tzw. poznanińskiej Skalce, uderzyła jakaś zasadnicza niezgodność wykutych w kamieniu, zastępych w hieratycznym geście figur Mieszka i Bolesława z ludzką, nabrzmiałą dążeniem, cierpieniem i radością, treścią życia, zamienionego w budującą legendę na nasz użytek — czyli, po prostu, w slogan. Pisarz, który postanowił (i już w dużej mierze dokonał) uwolnić człowieka z więzów legendy, pokazać nie mieszczącego się w schemacie dotychczasowej nauki i literatury życia i postaci Chrobrego i jego współczesnych — nie mógł przecież obojętnie przejść obok spraw i problemów, od których życia (a nie sloganowej wegetacji!) zależy nieuchronny sens bytowania i pracy Gołubiewa i jego współczesnych: ludzi drugiej połowy dwudziestego wieku. „Listy do przyjaciela” stały się więc naturalną konsekwencją podjętego przez pisarza obowiązku dotarcia na własną rękę do niezasypanego sloganami, nieprzytłumionego lenistwem rdzenia katolicyzmu. Lektura tej książki nie jest więc przyjemna i łatwa: zmusza bowiem do przejścia tej drogi także przez nas.

1) Antoni Gołubiew: „Listy do przyjaciela”. Wydawnictwo Pax, Warszawa 1955, s. 330

† P

Ksiądz Arcybiskup

Antoni Władysław Szlagowski

Doktor Św. Teologii, Arcybiskup Tytułarny Kotyeński, Asystent Tronu Papieskiego, Wikariusz Generalny, Prałat, Dziekan Kapituły Metropolitalnej, Honorowy Profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Proboszcz Parafii Św. Barbary w Warszawie.

Śp. Ksiądz Arcybiskup Antoni Władysław Szlagowski po krótkiej chorobie, opatrzony Św. Sakramentami zasnął w Panu w Milanówku dn. 28 lutego 1956 r. przeżywszy lat 91, w kapłaństwie 65, w biskupstwie 27.

Ksiądz Arcybiskup Szlagowski urodził się dnia 19.VII.1864 r., święcenia kapłańskie otrzymał w dniu 21.XII.1890 r., konsekrowany został w dniu 7.X.1928 r., a mianowany Arcybiskupem w 1945 roku.

Przewiezienie Zwłok z Milanówka do Warszawy nastąpiło w dniu 29 lutego. W piątek dnia 2 marca br. Zwłoki były wystawione w Archikatedrze św. Jana w Warszawie, następnie w dniu tym o godz. 17.00 odprawiono uroczyste nieszpory żałobne.

W dniu 3 marca po uroczystej żałobnej Sumie Pontyfikalnej, po egzorcizmie i uroczystej absolucji Zwłoki zostały złożone tymczasowo w podziemiach Archikatedry.

PARADOKSY SUMIENIA

W KONCU 1954 roku głośnym echem odbiło się w Wielkiej Brytanii ukazanie się książki Lorda Russell of Liverpool — „The Scourge of the Swastika”. Wydarzenie to miało tym głębszą wymowę polityczną, że autor książki, przedawiciel arystokracji, pełnił od 1934 roku wysokie funkcje w „Office of the Judge Advocate General of the Forces” — instytucji nadzorującej brytyjskie sądownictwo wojskowe, był po drugiej wojnie światowej zastępcą szefa sądownictwa przy brytyjskiej armii okupacyjnej w Niemczech oraz doradcą głównego oskarżyciela brytyjskiego w procesie norymberskim, a następnie — aż do momentu wydania książki — jednym z zastępców Judge Advocate General of the Forces. Książka Lorda Russell of Liverpool, która na terenie samej W. Brytanii sprzedała się już kilku wydan od łącznym nakładzie powyżej 100.000 egzemplarzy i przetłumaczona została na języki obce, ukazała się w przededniu decydującej debaty we francuskim Zgromadzeniu Narodowym, która przesądziła los nieśmiertelnej pamięci „Europejskiej Wspólnoty Obronnej”. Był to wyzwanie do rynek swą książkę, autor zdecydował się na ustąpienie z zajmowanych oficjalnych stanowisk, gdyż sprzeciwił się jej rozpowszechnianiu jego zwierzchnik, Lord Chancellor, brytyjski minister sprawiedliwości. Decyzja Lorda Chancellora zapadła po zapoznaniu się z opinią Foreign Office. Autorytatywne przypomnienie najnowszej historii i przesłanki wyroku norymberskiego, apel do rozsądku i sumienia — jakim siłą rzeczy musiała stać się opublikowana książka — musiały być w owej krytycznej chwili wybitnie nie na rękę politykom brytyjskim, usiłującym przedstawić silny narastający niemiecki rewizjonizm i odwetu jako aktualnego politycznego sojusznika.

Od owej chwili minęło półtora roku. „EWO” mistrzowską zonglerką zamieniona została na układy partyckie, które już w tej chwili liczą sobie wystarczająco długi żywot, by ulicami zachodnio-niemieckimi miast znów deflowowały oddziały odrodzonego Wehrmachtu. Niemiecka Republika Federalna, mimo wyraźnych klauzul układów partyckich, dotyczących broni „abc” 2), zapowiada utworzenie własnych wojskowych ośrodków badań atomowych. Do portów NRF przybijają pierwsze transporty broni amerykańskiej, tworzą się sztaby wojskowe, oficerowie nowego Wehrmachtu odbywają przeszkolenie w USA. Ponownie czują się zmuszeni do opuszczenia swego kraju: sędziwy poeta Fritz von Unruh, znani liberalni politycy: byli kanclerz weimarski — prof. Bruening oraz były prezydent senatu gdańskiego — Hermann Raushning...

Lord Russell zapewne nieraz po wydaniu swej książki spotkał się z zarzutem, że wzmacnia „komunistyczną, pokojową propagandę” w społeczeństwie angielskim, że przyczynia się do osłabienia więzów atlantyckiej i zachodnio-europejskiej wspólnoty, przypominając ideową genealogię i „dorobek” jednego z jej głównych obecnie partnerów. Trzeba przyznać, że opinia taka jest słuszna: książka służy sprawie pokoju, mimo że jej autor zdecydował się w parę miesięcy po jej opublikowaniu głosić w Izbie Lordów za ratyfikacją układów partyckich.

Pisząc swą książkę Lord Russell jednoznacznie odrzucił i potępił zbrodnie wojny napastniczej i ludobójstwa. Spoza chwilami prawniczej powściągliwości i zwięzłości wykładu przebiega to, co najcenniejsze: poruszone do najgłębszych podstaw sumienie. Sumienie madre i wyposażone w wykonawczy aparat intelektu, mobilizujące do działania. Sumienie, które jednak oceńnię mordy popełnione na osobach brytyjskich komandosów, członków gaulistowskiego ruchu oporu we Francji, mordy popełnione na ludności cywilnej krajów okupowanych, na radzieckich komisarzach politycznych i jeńcach, Żydach i Cyganach. Niedostatek i ubóstwo prawniczej terminologii, suchość jej abstrakcyjnych sformułowań nie czynią autora bezradnym wobec podjętego zadania. Lord Russell zdaje sobie bowiem sprawę z niewystarczalności prawniczej aparatury pojęciowej dla oddania nieogarniętego bezmiaru zbrodni i cierpienia, stanowiących przedmiot jego opisu; zdaje sobie sprawę z niemożliwości objęcia ich nie tylko opisem, ale i wyobraźnią człowieka.

Książka „Pod biczem swastyki” — niezależnie od niepełnych czy nawet błędnych wniosków, jakie potrafi wyprowadzić z niej autor — stanowi dokument doniosłej wagi nie tylko ze względu na zawartą w niej treść, ale i ze względu na to, że została napisana i wydana w określonych warunkach, w końcu 1954 roku, w dziesięć lat po zakończeniu wojny i udostępnieniu dokumentów hitlerowskich zbrodni, napisana przez człowieka reprezentującego pewną postawę moralną. Potęgą motywów, które skłoniły autora do napisania i rozpowszechnienia tej książki, musiała wynikać z jakichś najbardziej podstawowych przekonań, skoro zdecydował się zapłacić za prawo jej wydania rezygnacją z oficjalnych stanowisk, zajmowanych od wielu lat. Przemowa musiała stać się potrzebą

przypomnienia prawdy historycznej w imię poczucia uczciwości i — nie wyjątkowo — współodpowiedzialności za losy dokonujących się wydarzeń. Książka stała się zarazem powiędzeniem ex post solidarności z wszystkimi ofiarami zbrodni hitlerowskiej, a równocześnie — mniej lub bardziej świadomie — wyznaniem solidarności z siłami, które dziś stają na drodze spakowania zbrodniarzy i ich, świadczą o tym czołby słowa wstępu, w którym Lord Russell cytuje fragment przemówienia pierwszego oskarżyciela z ramienia Wielkiej Brytanii w procesie norymberskim, sir Hartley Snaucrossa:

„Obroncy narodów zwyciężonych ujmują czasami tak wybitnie współczucie i wielkoduszność zwycięzców, że fakty prawdy, ale nie zdaniem w sposób autorytatywny, zostają zaciemnione i idą w zapomnienie. Wystarczy tylko przypomnieć okoliczności, i które zasady po pierwszej wojnie światowej, aby uświadomić sobie niebezpieczeństwa, na jakie narazeni są ludzie podziwiali albo łatwowierni w wypadku, gdy nie ma autorytatywnego wyroku sądowego. Z biegiem czasu ludzie pobudzają, wzięci za garbaty szyi, do agresji i okrucieństwa przekazane potomnym — być może właśnie z powodu braku ich wadomości. A im, ci łatwowierni, wiodącemu w błąd już to przez zaniepokojenie, już to przez nieuczynienie, już to przez nieuczynienie agitatorów, zaczyna wierzyć, że nie oni, ale ich przeciwnicy ponosili winę za to, co sami teraz potępiają. Dlatego jesteśmy przekonani, że ten Trybunał, działając z całą obiektywnością i bezstronnością, będzie w ten sposób działał, mimo że został powołany przez mocarstwa zwycięskie — stworzy podstawę do rozwiązania zagadnień naszych czasów i pozostawi autorytatywne, bezstronne świadectwo, po które sięgają będą przyszłe historycy w poszukiwaniu prawdy, a przyszli politycy — dla przestrogi!”

„Jak powszechnie wiadomo — pisze Lord Russell — „autorytatywne wyrok sądowy”, o którym mówił sir Hartley — wydano. Było jeszcze wiele innych procesów o zbrodnie wojenne, których protokoły opublikowano i są dostępne dla każdego. Ale wielu nie ma czasu na ich czytanie, a wielu innych czytać ich nie chce, nawet jeżeli mają czas”. Ostatnie zdanie kryje w sobie wiele gorzkiej ironii człowieka obserwującego rozwój wydarzeń tak bardzo pozostających w sprzeczności z nauką historii. W najmniejszych swych przypuszczeniach nie pomyślał zapewne Lord Russell, jak bardzo dostojnie spełnia się słowa sir Hartleya, mimo autorytatywnego wyroku trybunału w Norymberdze: w czasie swej wizyty w Moskwie Kanclerz Adenauer wprost oskarżył mocarstwa o to, że dopuścili się faszyzmu i jego zbrodni.

Lord Russell nie wierzy w magiczną moc wyroku, nie ufa ludzkiej pamięci, ale wierzy w ludzkie sumienie, które nie może pozostać obojętne, gdy przedstawi mu się dowody zbrodni i cierpienia, gdy się je przypomnia. „Celem tej książki jest dostarczenie zwykłym czytelnikom i zgodnego z prawdą i dokładnego opisu niektórych hitlerowskich zbrodni wojennych” — w tak lakoniczny sposób wyraził autor swą wiarę w sumienie człowieka i określił cel wydania książki, która pozabawiła go wysokiego stanowiska państwowego.

T RUDNO atakować autora książki „Pod biczem swastyki” za brak precyzji w rozeznaniu sił społecznych, które umożliwiły przejście hitleryzmu z dziedzin możliwości w dziedzinę rzeczywistości. Byłoby to trochę śmieszne. Lord Russell of Liverpool jest tylko Lordem Russell of Liverpool. Nie będąc nawet ani uczonym historykiem, ani socjologiem, jest tylko i po prostu przedstawicielem określonej klasy społecznej, której wcale się nie wypiera ani nie potępia. Przynależność klasowa warunkuje niewątpliwie granice jego badawczej wnikliwości. Tym cenniejsza jest jednak jego postawa moralna wobec faszyzmu, odwaga i zgodna z tymi podstawowymi treściami ludzkiego sumienia, których upowszechnienie czyni realną sprawę obrony pokoju w epoce broni atomowej. Upowszechnienie tej postawy, zmajoryzowanie jej i przekształcenie w świadomą siłę czynną przeciw wojnie — to jedno z podstawowych zadań ruchu pokoju, który — ze względu na swój charakter — jest ruchem międzyklasowym i międzynarodowym, jest ruchem ludzkości przeciw nieludzkości. Nie w konformizmie światopoglądowym i jego konsekwencjach w praktyce społecznej, ale w płaszczyźnie powszechnej zgody na podstawowe zasady moralne leży bowiem przyszłość pokojowego współistnienia i perspektywy ostatecznego zwycięstwa światowego ruchu pokoju.

Jak długo losy pokoju będą zależne wyłącznie albo przede wszystkim od równowagi sił — tego najistotniejszego do chwili obecnej czynnika, groźba nowoczesnej wojny nie zostanie usunięta, niezależnie od wysiłków tych wszystkich, którzy w pełni potrafią ją dostrzec i ocenić. Nie negując więc absolutnie realnego — w chwili obecnej może nawet najsilniejszego — znaczenia czynnika równowagi oraz roli tych konsekwentnych sił politycznych, które dziś bronią pokoju, jego losy zależą będą ostatecznie od powstania trwałej ideologicznej płaszczyzny współistnienia, ugruntowanej w podstawowych, wspólnych całej ludzkości i przez całą ludzkość dobrowolnie przyjętych normach moralnych.

Jak długo ktokolwiek rozpatrywać może poważnie w obecnych warunkach alternatywę światowego konfliktu, jako drogę realizacji swych planów politycznych — co

do których absolutnej wartości byłby nawet najbardziej przekonany — jak długo jakikolwiek cele usprawiedliwiają w przekonaniu ich wyznawców drogę wojny światowej, jak długo uczulone i zmobilizowane sumienia ludzkie w całym świecie jednoznacznie i jednakowo nie będą oceniały takich koncepcji jako nieuchronnie prowadzących do zbrodni ludobójstwa — nowoczesna wojna pozostanie w sferze możliwości. Ponieważ zaś niewątpliwie sprzyjają jej sprzeczności społecznego świata, przejście ze sfery możliwości w sferę rzeczywistości może dokonać się w każdej chwili. Powstanie zwartej światowej opinii moralnej, o której pisał prof. Chałasiński, stanowi więc najniebezpieczniejszy element ogólnoludzkiej kultury współczesnego świata, najbliższą potrzebę i zadanie dla wszystkich, którzy rozumieją swą odpowiedzialność za dalszy rozwój wydarzeń i mają wystarczający poziom wiedzy i moralności, by ocenić rozmiar niebezpieczeństwa i czuć się zobowiązani do działania.

Niedwuznacznego wyjaśnienia wymaga nie tyle klasowe uwarunkowanie interpretacji pewnych norm moralnych, które w imię zasady „nie krańdzi” upoważnia kapitalistę w jego przekonaniu do obrony przed uspołecznieniem środków produkcji, a robotnika do dążenia do tego uspołecznienia w oparciu o rewoლucyjną ideologię, co konieczność uznania i przez jednego i przez drugiego podstawowej w obecnych warunkach zasady, że konflikt pomiędzy zachowawczym obózem kapitalizmu i postępowym obózem socjalizmu — niezależnie od poczucia suszności odczuwanego przez każdą ze stron i bez rezygnacji z niego — nie może zostać przekształcony w konflikt zbrojny, gdyż jego przebieg doprowadziłby nieuchronnie do ludobójstwa w rozmiarach nieznanych historii, przekreśliłby absolutnie wartość motywu tej strony, która podjęła i narzuciła drogę wojny. To podstawowa zasada jako jedynie zgodna z rozsądkiem i sumieniem kryterium działania musi wejść w skład świadomości nie tylko czynników kierowniczych polityki światowej, ale również każdego człowieka. Każdy powinien się czuć zobowiązany do stania na straży nietykalności tej zasady i do czynnego, natychmiastowego występowania przeciw próbom jej łamania. Jest to bowiem w tej chwili najbardziej podstawowy warunek nie tylko postępu, ale w ogóle istnienia naszej cywilizacji.

S POŁECZNA rola i wartość książki Lorda Russell wyraża się w tym, że cały swój autorytet rzucił on na szalę potępienia zbrodni ludobójstwa w okolicznościach, w których możliwość wojny otwiera nieuchronnie perspektywę ludobójstwa w niespotykanych przednio i nie dających się ogarnąć wyobraźni rozmiarach. Wypowiadając się przeciw zbrodnim hitlerowskim, autor wypowiedział się również — przeciw nowej wojnie, przeciw broni masowej zagłady, za pokojem i za współistnieniem. Na tym polega największa wartość jego książki. Opisując w niej hitlerowskie zbrodnie i analizując ideologiczne przesłanki i techniki społeczne faszyzmu hitlerowskiego, wskazuje i oskarża ludzi i instytucje, którzy przez swe czynne poparcie lub bierność wobec poczynań faszyzmu umożliwili jego zwycięstwo wewnętrzną, a następnie realizację ludobójczego programu wojennego, oskarża siły, które przez swe działanie lub bierność przesunęły faszyzm ze sfery możliwości w sferę rzeczywistości.

Autor, wskazując w licznych miejscach swej książki na współodpowiedzialność tych wszystkich, którzy poddali się zbrodniczym rozkazom Hitlera i wykonywali je, zdaje sobie jak gdyby sprawę, choć nie wypowiada tego explicite, z jakiegoś niewytłumaczalnego dlań „fatalizmu” rozwoju wypadków, który obezwładnił ogromną większość narodu niemieckiego i uczynił zeń powolne narzędzie w rękę faszystowskiego kierownictwa. Wskazując na przesłanki ideologiczne i techniki społeczne, którymi posługiwali się faszyści opowiadają i podporządkowując sobie naród, zatrzymuje się w tym miejscu i nie sięga do głębszej analizy potęg społeczno-gospodarczych, które stanowiły sprężynę działania hitleryzmu i walcnie przyczyniły się do jego zwycięstwa. Staje przed chorobliwym bezwładem ludzkich sumień i nie sięga dalej, nie potrafi operować i nie operuje pojęciem klasy, walki klas, obiektywnych praw działających w społeczeństwie. Zatrzymuje się na ludziach lub zinstytucjonalizowanej grupie, jak np. Wehrmacht, i oskarża ludzi i instytucje o bierność lub współzależność.

Pisze: „Przed wojną hitlerowcy wprowadzili w swym własnym kraju system oparty na „zasadzie wodzostwa” (Führerprinzip) — tyranię prawie nie mającą sobie równej w historii. Krzewili i popierali nienawiść rasową w myśl doktryny „rasowy panów”, której ostatecznym i nieuniknionym celem było panowanie nad światem. Podburzali brata przeciwko bratu, dzieci przeciwko rodzicom, chrześcijan przeciwko Żydom. Usiłowali zdemoralizować cały naród, a tych, którzy się tej de-

moralizacji opierali, terroryzowali i w końcu zamykali w obozach koncentracyjnych.

Tylko wówczas, gdy przypomni sobie, co się działo w Niemczech w latach 1933—1939, będziemy mogli ujrzeć we właściwej perspektywie zbrodnie dokonane podczas wojny przez hitlerowców na obszarach okupowanych.”

„Nie ulega wątpliwości, że nie cały naród niemiecki łatwo poddał się lub dobrowolnie przyjął doktryny i program hitlerowców. Gdyby nie natrafiali na opór, niepotrzebne byłoby takie organizacje, jak SS, SD i Gestapo. Tylko za pomocą terroru i tortur, tylko przez morzenie głodem i mordowanie udało się hitlerowcom wyeliminować we własnym kraju przeciwników reżymu. Jednocześnie hitlerowskie organizacje uciskały wywzięły się i zdobyły doświadczenie, z którego korzystały później poza granicami własnego kraju tak gruntownie i brutalnie, że stały się zmurą i biczem okupowanej Europy”.

„Już wiele lat przedtem Hitler pisał w „Mein Kampf”: „Rasa silniejsza będzie wypierała rasy słabsze, albowiem samo życie ostatecznie niszczy absurdalne bariery tak zwanej humanitarnej jednostek, aby utworzyć drogę humanitarności Natury, która niszczy wszystko, co słabe, by zrobić miejsce temu, co silne.”

Jest to prawo dżungli: nie dziw więc, że pociągnięto ono za sobą tyle nędzy, cierpienia, zniszczenia i śmierci.

W jaki sposób wykonano te zbrodnicze plany? Niemieckie dowództwo naczelne i niemiecki sztab generalny nie mogły uchylić się od całkowitej za nie odpowiedzialności.

Kiedy w 1933 roku starszy feldmarszałek von Hindenburg tak nagłe i nieoczekiwanie powołał Hitlera do władzy, wielu wyższych wojskowych niewątpliwie krzywo na to patrzyło. Ale niedługo potem większość z nich przystąpiła do współpracy z Hitlerem, a tych, którzy tego nie uczynili, jak np. von Fritsch, pozbywano się w bezwzględny sposób. Odtąd cała olbrzymia piramida niemieckiego korpusu oficerskiego stanowiła bezpośrednie oparcie dla Hitlera. Na samym szczycie tej piramidy stał Keitel, który wobec wszystkich projektów Hitlera miał tylko jedną odpowiedź: „Tak!”. Członkowie niemieckiego korpusu oficerskiego pomagali Hitlerowi i poddawali go do planowania i prowadzenia wojny agresywnej oraz do popełniania niezliczonych zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości. W kuluarach niemieckiego Ministerstwa Wojny dopiero wtedy odzwierciedlały się ciche głosy krytyki, kiedy hitlerowskie sukcesy wyraźnie zmniejszały się.”

W związku z wydaną przez naczelne dowództwo Wehrmachtu w 1941 roku „Dyrektywą w sprawie traktowania (radzieckich — przyp.) moich komisarzy politycznych” Lord Russell pisze: „Poczawszy od generała, który ją przekazywał podległym oddziałom, a skończywszy na młodszym oficerze, który ją miał wykonywać — nikt z nich nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości co do zbrodniczego charakteru tej dyrektywy”.

Opisując potworne zbrodnie popełnione w obozach koncentracyjnych Lord Russell zapytuje:

„...A co wiedział o tym naród niemiecki? Często sugerowano, że nie wiedział. W rzeczywistości prawdopodobnie, że wiedział wszystko, jest równie mało, jak prawdopodobieństwo odwrótnie — że nie nie wiedział.”

Ktoś kiedyś powiedział: „Można otumaniać cały naród przez pewien czas, a niektórych ludzi — przez cały czas, ale nie można otumaniać całego narodu przez cały czas”. Istotnie. Są dowody, że wielu Niemców dużo wiedziało o tym, co się dzieje w obozach koncentracyjnych. Jeszcze więcej Niemców miało poważne podejrzenia, a może nawet złe przeczuca, ale woleli trwać w niewiedzy i w ten sposób uspokajać sumienia.”

„Być może, że niektóre bestialstwa hitlerowskie potrafili ukryć za ogrodzeniami i murami obozów koncentracyjnych. Ale niewątpliwie były także niedwuznaczne fakty, które silną rzeczy musiały wyjść na światło dzienne. Widząc takie fakty żaden Niemiec, który miał oczy do patrzenia i uszy do słuchania, nie mógł mieć wątpliwości co do tego, że w imieniu narodu niemieckiego popełnia się zbrodnie”.

Dołączamy: żaden Niemiec mający rozsądek i znający ideologię hitlerowską, zanim stała się ona ideologią panującą narzuconą wszystkim Niemcom, nie mógł mieć wątpliwości — bez względu na swe klasowe uwarunkowanie i bez względu na poglądy społeczne — że ideologia ta jest najgłębiej zbrodnicza i amoralna; żaden również nie mógł mieć wątpliwości, że nie przeciwstawienie się jej czyni go współodpowiedzialnym za jej następstwa w praktyce.

Dochodzimy tu chyba do sedna sprawy: Lord Russell oskarża i potępia tych Niemców, którzy nie przeciwstawili się czynnie ideologii hitlerowskiej i realizacji jej programu, bez względu na swą przy-

ależność i pozycję społeczną — wychodząc z założenia, że nie może upoważnić do czynnej lub biernej akceptacji zbrodniczego programu i jego realizacji, że zbrodnia pozostaje zbrodnią bez względu na to, w imię czego i przez kogo jest popełniana, że żaden cel nie może jej uzasadnić.

Programowe rozpowszechnianie III Rzeszy założen hitlerowskich, powszechność treści wychowania przekazywanych młodzieży niemieckiej i niemieckim żołnierzom, praktyczne próbki realizacji w samych Niemczech ogólnie znanych zasad Hitlera, w myśl których: „sumienie jest pomysłem żydowskim i okrucieństwem — jesteśmy i chcemy być barbarzyńcami, bo jest to tytuł zaszczytny — musimy być okrutni, okrucieństwo i brutalna siła imponują masie — człowieka należy w sobie przewyczyć” (cyt. wg Biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, tom VII) — uczyniły znajomości programu hitlerowskiego powszechną własnością i umożliwiły jego ocenę każdemu człowiekowi, a szczególnie każdemu Niemcowi. Czy więc Lord Russell popełnił jakiś poważny błąd pomijając w swej potępiającej i demaskatorskiej ocenie zbrodni hitlerowskiej analizę obiektywnych sił społeczno-gospodarczych, dla których program hitlerowski mógł stać się i stał się atrakcyjny zyskując wskutek tego ich poparcie? Wydaje się, w świetle przyjętych przez niego założeń, że nie, gdyż ograniczył się tylko do uznania, że żadne cele nie upoważniają do akceptacji zbrodniczej ideologii i zbrodniczego programu działania, ponieważ istnieją pewne podstawowe, wspólne całej cywilizowanej ludzkości i obowiązujące ją zasady moralne, ponad którymi nie może zostać postawiony żaden cel. Autor nie stwierdził wcale, że istnienie tych podstawowych zasad, częściowo wyrażonych w prawie międzynarodowym, częściowo wypracowanych z zasad prawa współczesnych cywilizowanych państw, oznacza ich powszechną akceptację, ani nie analizował czynników, które mogą przyczynić się do ich łamania, a jedynie wykazał w swej książce na przykładzie zbrodni hitlerowskiej konieczność powszechnego uznania tych zasad i najstraszliwszego niebezpieczeństwa, jakim grozić może ich odrzucenie. Nie zgodzić się z nim można tylko przyjmując fatalistyczną koncepcję tego typu determinizmu, który wyklucza możliwość wpływu świadomości ludzi, a więc i instancji ich sumienia, na bieg procesów społecznych, uwarunkowanych jednoznacznie w swym szczegółowym przebiegu. A to oznacza przeczenie rezygnację z oceny wartościującej: konieczne — jest tylko konieczne, nie może być ani złe, ani dobre. Ale straciłoby wtedy sens znane powiedzenie, że „idea staje się siłą materialną, gdy ogarnia masy” i że losy pokoju zależą od tego, czy narody zdołają jej wziąć w swoje ręce. To ostatnie stwierdzenie zawiera w sobie zarówno wiarę w siły świadomego proletariatu świata, co i w powszechną wartość pewnych podstawowych kryteriów moralnych i w możliwość mobilizacji sumień ludzkich na całym świecie przeciw noszącej perspektywę strasznego ludobójstwa groźbie nowej wojny światowej.

Procesy społeczne, które dzięki

uniwersalizmowi nowoczesnej cywilizacji materialnej, objęły dziś swym zasięgiem cały świat, nie przebiegają z koniecznością niezależną od ludzkiej woli i oceny, nie przebiegają mimo ludzkiej świadomości, której wypełnienie pewnymi wspólnymi, podstawowymi: treściami ideowymi i moralnymi może uwolnić świat od koszmarnego wizji totalnego wyniszczenia. Cóż wreszcie ir tego czyni dziś światowy ruch pokoju?

Czy możliwe jest dokonanie tego niewątpliwie gigantycznego zadania? Czy możliwe jest przełamanie zaważonych perspektyw, uwarunkowanych przez obiektywne sprzeczności społeczne, na rzecz perspektyw ogólnoludzkich, czy możliwe jest rozszerzenie zasobu powszechnie uznawanych na całym świecie wartości o nową wartość, jaką jest bezwzględne potępienie i wyrażenie się wojny między narodami w dobie istnienia broni masowej zagłady? Wreszcie, jaka jest możliwość skutecznego funkcjonowania tej zasady, na której straż stanąć ma sumienie każdego człowieka?

Na pytania te można odpowiedzieć twierdząco, ponieważ w warunkach nowoczesnego cywilizowanego lub cywilizującego się społeczeństwa — a tylko to wchodzi w rachubę — w warunkach podziału pracy i funkcji społecznych, w warunkach społecznej organizacji produkcji i społecznej organizacji wojny i przygotowań wojennych, w warunkach istnienia środków masowej propagandy i masowego upowszechnienia podstawowego poziomu wiedzy — prawdę o nowoczesnej wojnie można i należy doprowadzić do każdego człowieka, wskazując mu zarazem jego rolę i możliwości w oddziaływaniu na bieg wydarzeń.

Tej sprawie służy między innymi książka Lorda Russell of Liverpool, demaskująca zbrodnie faszyzmu i ujawniająca mechanizm działania aparatu zbrodni oraz upowszechniania zbrodniczej ideologii. Jej poczytność na terenie samej Wielkiej Brytanii świadczy wymownie o groździe prawdy wśród ludzi, którzy czują się zagubieni w chaosie współczesnego świata.

Czy Lord Russell dałby się namówić na przyjęcie rewolucyjnej ideologii? — Wątpię. Na szczęście nie od tego zależą jednak losy pokoju. Jego książka nie jest w zasadzie — błędna. Służy najważniejszej sprawie, jaka stoi obecnie przed światem i przyczynia się jednoznacznie do jej rozwiązania: potępienia i demaskacji imperialistycznej wojny i zbrodni ludobójstwa oraz techniki społecznej i ideologicznej służącej ich realizacji. Wątpię, czy można liczyć na trwałe utrzymanie i obronienie pokoju bez przekształcenia świadomości współczesnej burżuazji, bez uanożenia jej pełnych konsekwencji, jakie spowodowałyby alternatywa wojny. Nie jest powiedziane, że współczesna burżuazja musi w swej masie, ani nawet w swej większości przyjąć ideologię prowadzącą do wojny i ludobójstwa. Postawa takich ludzi, jak Lord Russell świadczy o tym wymownie.

1) „Pod Biczem Swastyki”, wyd. Czytelnik, 1956 rok.

2) Broni atomowa, bakteriologiczna i chemiczna.

Procesy społeczne, które dzięki

* PAX *

LITERATURA PIĘKNA	ANDRZEJ ŁĘPKOWSKI
Zenon Skierski	Ludzie znad zatoki
ŚWIADKOWIE ZIEMI	str. 205
cena 21 15.—	
str. 337	M. ZIENTARA-MALEWSKA
	Legenda dwóch rzek
	str. 208
	cena 21 15.—
ZBYSZKO BEDNORZ	BRUCE MARSHALL
Bydzie bratem	Cud Ojca Malachiasza
(nowele)	str. 244
cena 21 12.—	cena 21 12.—
str. 121	
LEOPOLD BUCZKOWSKI	Z. SKIERSKI
Czarny potok	Jemioła dojrzewa
cena 21 18.—	str. 323
str. 240	cena 21 25.—
GEORGES BERNANOS	M. SMOLARSKI
Radość	Światło nad księgami
str. 204	str. 320
cena 21 20.—	cena 21 24.50
WANDA CHYLICKA	SIGRID UNSET
Splątane korzenie	Olaf syn Auduna, t. I/II
str. 163	str. 284+459
cena 21 16.—	wyd. II
	cena 21 50.—
WANDA CHYLICKA	MATEUSZ ŻURAWIEC
Uciełka i powrót	Clerkpie winogrona
str. 188	str. 336
cena 21 15.—	cena 21 20.—
A. J. CRONIN	Arkusze poetyckie
Zielone lata	(10 autorów)
str. 338	str. 160
cena 21 25.—	cena 21 12.—
JAN DOBRACZYŃSKI	TADEUSZ GAJCY
Notatnik podróżny	Utwory zebrane
str. 146	(poezje i dramaty „Homer i Odysseus”)
cena 21 9.—	str. 242
	cena 21 25.—
A. GOES	„...każdej chwili wybierać muszę”
Niespokojna noc	almanach poetycki
(nowele)	str. 396
cena 21 10.—	cena 21 20.—
K. GOLBA	Wysła Biuro Sprzedaży „Pax”
Obrazki śląskie	Warszawa, Mokotowska 43
str. 182	z załączeniem pocztowym lub po wpięciu
cena 21 15.—	na znaczku POK W-wa 1-14
ETIENNE DE GREFF	240317 Sp Wyd „Pax” — Instytut
Noc jest moim światem	Wydawniczym w Warszawie
wyd. II	Przy wzięciu na PKO prosimy dołączać
str. 447	2 zł. — na koszt przesyłki
cena 21 28.—	Do nabycia we wszystkich sklepach
JANINA KOLENDO	„Veritasu”.
Szukając drogi	
str. 231	cena 21 20.—

„OBRONA DOKTORA FAULA”

Kazimierz Brandys podjął w „Obronie Grenady” próbę oceny minionego okresu budowy socjalizmu w Polsce. Ocena sformułowana przez Brandysa jest niepełna (o co zresztą trudno winić literackie opowiadanie) i nader jednostronna. Również niepełny i jednostronny charakter ma głos polemiczny Stefana Kurowskiego, który poniżej publikujemy. Sądzimy jednak, że w dyskusji nad tak ważnym problemem należy ujawnić możliwie najszerszy wachlarz poglądów. Tylko uszechstronna analiza tego okresu, którego wielkie i tragiczne sprzeczności ukształtowały twórczość literacką, pozwoli nam w przyszłości spożytkować doświadczenia dla dalszego procesu postępowych przeobrażeń społecznych.

REDAKCJA

PROLOG

KAZIMIERZ Brandys napisał opowiadanie pt. „Obrona Grenady”. Opowiadanie zostało wydrukowane w styczniowym numerze „Twórczości”. Powiedziałby ktoś: zwykła sprawa. Brandys napisał niejedno już opowiadanie, a w każdym niemal numerze „Twórczości” drukuje się nowe utwory. Ale oto już w parę tygodni później Roman Zimand zamieścił w „Po Prostu” obszerny artykuł, w którym dowodzi, że „Obrona Grenady” jest odpowiedzią na wielkie pytania naszej epoki. Kilka dni potem rezonans odezwał się w „Życiu Literackim” Stanisław Lem i przy pomocy pokazanego aparatu socjologicznej analizy sformułował tezę, iż Brandys pierwszy podjął „próbę wymierzenia pisarskiej odpowiedzialności minionemu czasowi”. Próba, zdaniem Lema, wypadła co najmniej zadowalająco. Sprawa zaczęła więc stawać się interesująca, jakkolwiek ciągle jeszcze utrzymywała się w granicach zdarzeń bądź co bądź zwykłych.

Te granice zostały dopiero przekroczone, gdy „Po Prostu” przedrukowało opowiadanie zdobywając się nawet w tym celu na zwiększoną objętość numeru. „Po Prostu” jest piśmie, które ma ambicje trzymania ręki na tzw. pulsie wydarzeń, wydobycia i kanalizowania nowych myśli i idei, jakie nurtują młodzież, głównie młodzież inteligentną. Gdy więc „Obrona Grenady” została przeniesiona ze spokojnej i dość ekskluzywnych łamów miesięcznika literackiego na szpalty żywo redagowanego tygodnika, walczącego niejaką w pierwszej linii frontu ideologicznego, należy przyjąć, że ma ona do spełnienia na tym froncie ważne i określone funkcje.

„Po Prostu” nie poprzestało na przedrukowaniu opowiadania. W notatce zamieszczonej w następnym numerze pisma redakcja zawiadoma, że ze względu na „olbrzymie zainteresowanie”, jakie wywołała „Obrona Grenady”, odbędzie się z udziałem autora publiczna dyskusja nad tym opowiadaniem. W innym środowisku taka dyskusja, również zorganizowana przez „Po Prostu” i również z udziałem autora, już się odbyła. „Obronę Grenady” wszyscy czytają, sprawa „Obronny Grenady” staje się głośna, o „Obronie Grenady” się mówi. „Grenada” — nazwa, którą autor nadał zespołowi teatralnemu — staje się metaforą, symbolem, skrótem myślowym, nieledwie jak przed półtora rokiem „Odwilż” Erenburga.

Jest to niewątpliwie sukces pisarza. Czym go należy tłumaczyć? Podjęciem tematu społecznego. Ale to mało. Sukces pisarza należy tłumaczyć tym, że temat, który podjął, to nie tylko temat społeczny, lecz temat centralny naszej współczesności, temat, który wszyscy musimy przeżyć bezpośrednio: każdy we własnym osobistym doświadczeniu i wszyscy w doświadczeniu zbiorowym narodu. Jest to temat odpowiedzialności za rewolucję i oceny rewolucji; jest to temat tworzenia przez rewolucję nowego społeczeństwa socjalistycznego. Jest to temat narodu polskiego z lat 1945—1955.

Brandys przyjął historyczne zadanie społeczne, które nasze czasy postawiły przed literaturą. Trzeba zgodzić się z Lемом, że autor „Obronny Grenady” pierwszy podjął się tego zadania. Inna rzecz, czy uczynił to po to, by wymierzyć sprawiedliwość pisarską minionemu czasowi. Gdyż sam temat jeszcze nie decyduje o wielkości dzieła, choćby to był temat oceny rewolucji. O wielkości dzieła decyduje, co pisarz z tematem zrobi, jak go przedstawi, w jakim stopniu odda jego prawdę życiową: prawdę indywidualną procesu duszy ludzkiej i prawdę społeczną procesu historycznego. Decyduje więc — zgadzam się tu z Zimandem — tendencja pisarza.

Jakaż to tendencja przyświecała autorowi „Obronny Grenady”, jakaż to sprawiedliwość i komu chciał w niej autor wymierzyć?

Będzie mowa o doktorze Faulu. Kazimierz Brandys opowiada. Grupa młodych ludzi, pełnych zapału komunistów, zakłada teatr. Zamierzają wystawić „Łaźnię” Majakowskiego. Teatr jednak dostaje się pod opiekę Instytutu Organizacji Kultury, którym kieruje doktor Faul. Doktor Faul przekonuje młodych ludzi, że nie należy wystawić „Łaźni”, gdyż może to przynieść szkodę rewolucji, natomiast należy wystawić „Bylgadę szturmową” — sztukę bez wartości ideowo-artystycznej, o tematyce produkcyjnej. Po początkowym oporze trzech z „Grenady” dają się przekonać. W miarę prób z nową sztuką znikają wątpliwości. W „Grenadzie” wszyscy lub prawie wszyscy wierzą w „Brygadę szturmową”. Premiera. Oficjalny sukces. Po setnym przedstawieniu bankiet. Jedynym zgryztem jest pułkownik widownia.

Potem przychodzi inny czas. Ludzie zrzucają maski i wracają do swoich sumień i do swoich myśli. Dwa z „Grenady” idą po raz drugi na rozmowę do doktora Faula, by powiedzieć mu wreszcie prawdę. I doktor Faul znów ich przekonuje. I doktor Faul znów ich przekonuje — przy pomocy odmiennych tym razem argumentów. Ale ponieważ jest jednak inny czas — podejmują powtórnie próbę „Łaźni”. Sztuka Majakowskiego ma być wystawiona. Autor kończy optymistyczną metaforą „kurtyna w górę”. Happy end.

Również i całe opowiadanie trzeba odczytać jak metaforę. Metaforą są główne postaci utworu i metaforą jest konflikt, jaki między nimi się rozwija. Rzecz w tym jednak, jak tę metaforę rozumie autor, a jak ją rozumie czytelnik. Co autor podstawił pod stworzone przez siebie symbole, a co podstawił pod nie czytelnik. Rzecz w tym bowiem, że obaj zrobią to inaczej.

Autor ma do dyspozycji „środki wyrazu”, czytelnik ma prawdę życiową. Autor operuje środkami wyrazu umiejętnie. Skupia światło na zespole „Grenady”. Czyny z tego zespołu bohatera pozytywizmu. Usuwając z niego bohatera Faula. Nie chce, by on stał się bohaterem negatywnym. Do pomocy autor przywołuje wątki uboczne: wątek „negatywny” Miernika i Swatkowskiego i wątek „pozytywny”: miłość Piotra i Julki. Gdy i to nie wystarczy, ucieka się do epizodu z przekreślonym afiszem „Łaźni”. W krytycznym momencie, po jubileuszowym bankiecie w „Grenadzie”, chowa się po uszy w wątek Piotra i Julki. I wreszcie — to jest „mistrzowskie” pociągnięcie — gdy historia weszła w Okres Draj-

Sztuka w trzech aktach, przetłumaczył oraz prologiem, epilogiem i komentarzami uzupełnił STEFAN J. KUROWSKI
Osoby: Autor
Czytelnik

W pełnym świetle konfrontacji z prawdą życiową doktor Faul bezskutecznie usiłuje schować się poza swoimi okularami, to znów poje — Miernikiem i Swatkowskim, to wreszcie poza osobę autora, a nawet w końcu — patrzcie, jaki sprytny — poza Rewolucję, pragnąc pod tym wysokim protektorem przemknąć do nowego etapu.

Na próżno. Surowe oczy czytelnika dojrzą go wszędzie. Gdzie jest doktor Faul? My znamy doktora Faula! — wołają widzowie teatru „Grenada” i każdorazowa dyskusja o „Obronie” sprowadza się nieodmiennie do oskarżenia; do oskarżenia doktora Faula.

Czy autor jest temu winien? Nie. Uczyń wszystko, by tego uniknąć. Winien jest czytelnik. Winien jest ten czytelnik, który w 1950 roku przestał chodzić na „Brygadę szturmową”, a w 1956 r. dyskutuje inaczej o „Obronie Grenady”, niżby to chcieli doktorzy Faulowie. Podobno Faulowie, gdy spotykają autora na ulicy, są obrażeni za „Obronę Grenady”. Nie mają racji. Powinni mu być wdzięczni. Bowiem Kazimierz Brandys napisał właściwie ich obronę „Obronę doktora Faula”.

Będzie mowa o doktorze Faulu.

Akt I

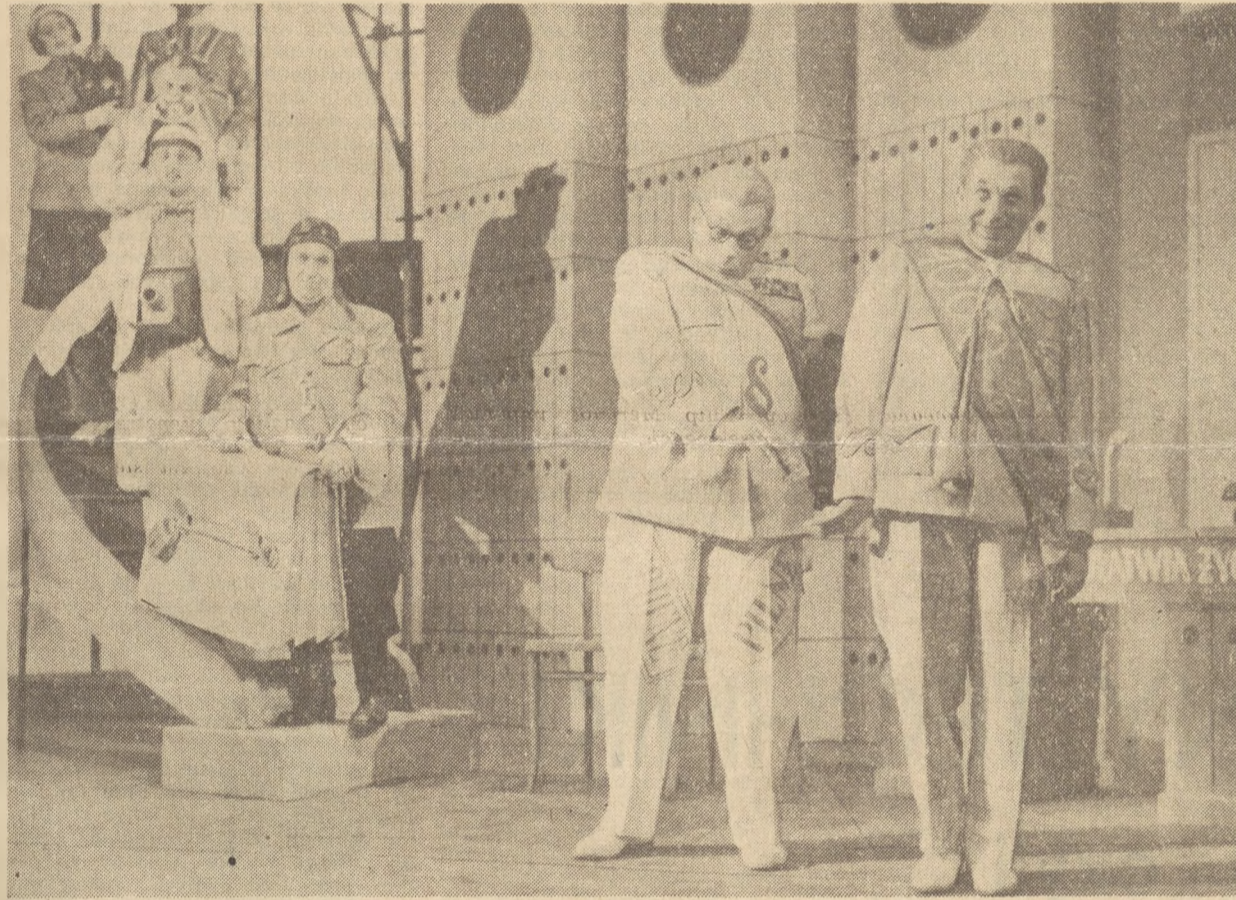
AUTOR: podejmuje akt pierwszy obrony.

Na jednym z zebrań dyskusyjnych autor „Obronny Grenady” zapytany o dziwną dosyć formę noweli odpowiedział, że forma, jak

prawdy rewolucji, choć są to prawdziwie tylko doktora Faula.

Pisarz realista, który spotyka stu Faulów, bierze to, co w nich jest wspólne i tworzy z tego postać typową; może być typ charakteru lub typ społeczny, może być typowy skąpiec lub typowy kapitalista. Postać taka, mimo że jest uogólnieniem wielu indywidualnych obserwacji, żyje konkretnym życiem, oddziela jej od czytelnika żadna przegroda, jest dostępną jego obserwacji, krytyce i osądowi, czytelnik zna ją z konkretnych sytuacji, zna jej otoczenie i co najważniejsze zna jej rodowód społeczny, wie, gdzie ją w społeczeństwie umieścić.

To jest uogólnienie realistyczne. W wyniku takiego uogólnienia ustami typowych postaci przemawia do nas człowiek. Postacie „Obronny Grenady” to papierowi, sylwetkowi naskikowani, ale jednak ludzie. O każdym z nich wiemy coś ludzkiego. Jeden doktor Faul jest wyjątkiem. Nie wiemy o nim nic z rzeczy ludzkich. Postać ta nie tylko nie mieści się w konwencji realizmu socjalistycznego, ale nie mieści się w ogóle w konwencji żadnego realizmu. Gdy czytamy opowiadanie, w pewnym momencie ogarnia nas zdumienie. Jak to, więc tak przedstawia centralną postać swego utworu Kazimierz Brandys, realizista socjalistyczny; jak to, więc tak przedstawia ostateczną instancję wielkich procesów społecznych, którym ulegają ludzie z kręgu „Grenady”, pisarz-rewolucjonista? Ostateczną, bo przecież nikogo poza nim Brandys nie pokazał.



Fot. Fr. Myszkowski

Scena z „Łaźni” W. Majakowskiego

liwy, trafił z „Grenadą” kontakt na trzy lata, by odnaleźć ją już w innym czasie.

Autor umiejętnie operuje środkami wyrazu. Na pustej scenie grają dwie postaci: zespół „Grenady”, który w zmiennym świetle brandysowskich reflektorów próbuje urosnąć do olbrzymiego symbolu, bo ja wiem, może nawet całego narodu — oraz doktor Faul stale pozostający w cieniu, niknący w tym cieniu. Doktor Faul znika w końcu zupełnie, rozplywa się, nie ma go (choć pozostaje). Gdzieś na pobrzeżach sceny kręca się cienne typy mierników, swatkowskich i facetów z brodkami, których zresztą przeobrażony w tyglu rewolucji i oczyszczony zespół „Grenady” przepędzi na cztery wiatry. Tak oto sztuka, która mogłaby nosić imię „Ocena Rewolucji”, wygląda w inscenizacji i reżyserii

Alie widz tej sztuki — czytelnik polski z r. 1956 przyjmie temat, a odrzuci reżyserię i inscenizację; pozna nieprawdę interpretacji, usunie złudne efekty światłocienia i całą scenę oświecił pełnym, równym światłem konfrontacji z prawdą życiową. W tym świetle zaś ukaże się zupełnie wyraźnie ograniczonosc symbolu zespołu „Grenady”. Cóż można podstawić pod ten zespół neuraastenicznych inteligentów miotających się bezradnie w zakłętym kole sofizmów? Nie jest to przecież klasa społeczna, nie jest to nawet grupa społeczna. Jest to odczwana od narodu grupka ludzi, skazanych wskutek swej izolacji na ślepe posłuszeństwo kolejnym doktorom Faulom. Oportunizm lub fałszywa i jałowa auto-egzaltacja (tych, którzy chcą jeszcze uratować część wiary w siebie) oto nieuchronny los ludzi z kręgu „Grenady”. Nie budzą współczucia ani nawet sympatii, mimo wysiłków autora nie budzą również większego zainteresowania.

Czytelnik odsuwa na bok pierwszoplanowe w intencji autora postaci „Obronny” i sięga do tej, która pisarz na próżno stara się ukryć,

również pewne elementy treści opowiadania są wynikiem procesu tworzenia nie w pełni świadomego. Zdradzając tę tajemnicę swego warsztatu literackiego autor chciał wytłumaczyć, że nie może brać pełnej odpowiedzialności za wszystkie elementy treści i formy dzieła, które powstaje częściowo w wyniku podświadomych aktów twórczych. Jest to niewątpliwie interesujące wyznaczenie jednego z czołowych przedstawicieli realizmu socjalistycznego. Niemniej jednak analizując „Obronę Grenady”, ową zbeletryzowaną publicystykę, musimy dojść do wniosku, że przy jej pisaniu elementy świadomości u autora zdecydowanie przeważały. A już niechybnie zadczywały one o koncepcji postaci doktora Faula. Widać w niej bowiem wyraźnie całkowitą jedność intencji i środków wyrazu nawet kosztem deklarowanych niejednokrotnie kanonów realizmu.

Doktor Faul, centralna postać dramatu lat 1949—1953, jest przedstawiony przez autora jako Wielka Abstrakcja. Później obrazowe elementy w opisie mają właśnie na celu podkreślenie bezosobowego, bezcielesnego charakteru tej postaci. Elementy opisu są tak dobrane, aby doktor Faul był „uderzający przez swą nijakość”. Potem następuje uogólnienie pojęcia. Doktor Faul nigdy nie występuje bezpośrednio w opowiadaniu. Autor zamyka go przed czytelnikami i przed osobami z noweli za drzwiami jego gabinetu w Instytucie Organizacji Kultury. Stamtąd doktor Faul wydaje polecenia, stamtąd kieruje ludźmi, tam odbywa swoje rozmowy z tymi, którzy na chwilę ulegli zwątpieniu. Ale rozmów tych też nie słyszymy bezpośrednio. Autor, a więc i czytelnicy nie są przy nich obecni. Autor relacjonuje je nam na podstawie przypuszczenia, że są podobne do stu innych, które słyszał. Rozmowy te, a właściwie monologi doktora Faula słyszymy więc jakby jakieś potężne echo „mystycznego” głosu unoszącego się nad rzeczywistością i wypowiadającego wielkie

Postać doktora Faula jest to bowiem uogólnienie, ale uogólnienie irracjonalne, złożone z elementów prawie że pozaziemskich. Doktor Faul w kreacji autora nie powstał z krwi i kości, lecz z wielkich argumentów, historycznych racji i praw rewolucji, a wszystko to ustawione w takim olbrzymim dystansie zarówno od pozostałych osób opowiadania, jak i od czytelnika, że postać traci charakter ziemski i zyskuje demoniczny groź jakiegoś Mefistofelesa unoszącego się nad przedstawicielami rewolucji i kierującą losami jej uczestników. Bo nawet rewolucja ma swoje zwroty, „dokonuje wysiłku poznania samej siebie”, „zdaje się nie wytrzymać swych sił”. Jeden tylko doktor Faul nie ma wahań, załamania, chwil słabości. Jest z jednej bryły od początku do końca. Gdy się to czyta, mimo woli czytelnik chce zawołać o autorze: na Boga, ten człowiek wierzy w upióry!

Najkapitałniejsza jest jednak to, że ta właśnie idealistyczna konstrukcja na Brandysowej scenie gra rolę ostatecznej instancji rewolucji. Oto na co przyszło socjalizmowi pod piórem rzekomo realistycznym.

A może ja źle odczytuje doktora Faula? Może autor w ten sposób chciał pokazać oderwanie się tego człowieka od mas, od życia? Jest wprawdzie taki jeden rys, rysik charakterystyki Faula jakby realistyczny: gdy Julka Glińska opowiada, iż doktor Faul co tydzień pyta się, czy jest tłok w tramwajach. Ale potem oddalenie doktora Faula nabiera monumentalnej wielkości, uzasadnionej historyczną racją, a więc przypisywaniu jej cech ludzkich byłoby w ogóle nietaktem.

Nie ulega wątpliwości, że w takiego doktora Faula nie wierzy zapewne również sam autor. Należy więc zapytać, po co mu była potrzebna ta konstrukcja? W jakim celu pisarz zamiast nakreślić realistycznie centralną postać utworu zastępuje to chimera?

Chodzi tu zapewne o usprawiedliwienie zespołu „Grenady” za jego

oportunizm (a przy tym i usprawiedliwienie szersze — „wszak każdy z nas miał swojego doktora Faula”) — wobec takiej nadziemskiej potęgi człowiek nie mógł się przecież opierać, musiał ulec.

Alie wydaje się, że nie to jest tu najważniejsze. Konstrukcja doktora Faula ma oddziaływać na czytelnika w jego stosunku do dwu centralnych problemów: w stosunku do sprawy odpowiedzialności i w stosunku do sprawy oceny rewolucji. Tu leży klucz zagadki w postaci doktora Faula — Anonima.

Problem odpowiedzialności. Doktor Faul prowadził nieczystą grę. Doktor Faul popełnił błędy, być może więcej niż błędy. Doktor Faul jest winien wyrządzonego zła. Odpowiedzialność to sprawa moralna, ale zarazem i społeczna, i należy ją rozstrzygnąć w konkretnych kategoriach społecznych. Takie konsekwencje muszą być w stosunku do doktora Faula wyciągnięte. Doktor Faul powinien odejść. Lecz tu okazuje się, po co autor opowiadał czytelnikom o doktorze Faulu w taki sposób, jak szaman opowiada ciemnym dzikusom o złym zmium. Czyż zle zmium za to, że zniszczyło plony prosa można pociągnąć do odpowiedzialności? Nonsens. Czyż doktora Faula, można pociągnąć do odpowiedzialności? Co innego taki Miernik i Swatkowski. To narzędzia, które można odrzucić, zamienić na inie. A więc w stosunku do nich realizm jest na miejscu. Nawet drapieżny, idący po śladach Czechowa. Ale doktor Faul? Czy można go sądzić? Wzruszenie ramion Justa to w ogóle najniższa reakcja, na jaką może się zdobyć śmiertelnik. Niech nikt nie myśli, że doktora Faula można kiedy zaszkodzić. On jest zawsze w swych księgach na bieżąco. Wiadomo — pracuje nad sobą. Błądził, ale jeśli kwitujemy te błędy wzruszeniem ramion, to znaczy, że ich skala nie mieści się w ogóle w znanych nam kategoriach dobra i zła, a więc nie może rodzić odpowiedzialności. Doktor Faul przynajmniej wprawdzie sam, że ponosi odpowiedzialność, lecz nie jest to odpowiedzialność ani przed zespołem „Grenady”, ani przed czytelnikami, ani w ogóle przed ludźmi. Jest to odpowiedzialność przed Historią. A abstrakcyjna historia, która w przeciwieństwie do konkretnych ludzi nie ma egzekutywy, okazuje się pobożniactwem dla doktora Faula. Doktor Faul pozostaje. Małdry jak dawniej, pozostaje ze swoimi racjami, otoczony ludźmi wierzącymi w jego dziejowe posłannictwo. Ten Faul, który w kategoriach norm ludzkich, w wymiarach realizmu jest żalosną postacią — w kategorii antyrealistycznej konwencji opowiadania potrafi uchylić się od odpowiedzialności, a nawet więcej — z dumnie podniesionym czołem, przeprowadziwszy płytką, naszpikowaną znakami zapytania samokrytykę i poprzestawiawszy trochę swoje sofizmaty pozostaje dalej na posterunku.

Uchylenie odpowiedzialności moralnej to połowa dzieła oczyszczenia. Pozostaje sprawa odpowiedzialności społecznej. Doktor Faul w ustawieniu Brandysa interpretuje racje rewolucji, zna do końca skutki czynów ludzkich, wie, czy się przysłużą rewolucji, czy nie. A więc odpowiedzialność społeczna doktora Faula to sprawa oceny rewolucji. Rewolucję oceniamy na podstawie jej skutków społecznych. Ale ocenie podlegają także ludzie, którzy rewolucję czynią. Tu zaś stajemy bezradni: doktor Faul wymyka się realistycznemu ujęciu, czynny jego nie mieszczą się w normalnej skali ocen, możemy tylko wzruszyć ramionami i przyjąć je tak, jak się przyjmują działania sił przyrody. Jeśli tak, to podobną postawę musimy zająć również w stosunku do rewolucji. Nie możemy jej badać, nie możemy jej oceniać ani rozumieć — doktor Faul rozumie ją za nas. Możemy ją tylko przyjąć i wierzyć, że w ostatecznej instancji racje jej są racjami naszymi, a ofiary, których wymaga, są konieczne. Powie ktoś, toż to idealizm! Oczywiście, najczystszej wody heglowski świat pojęć czystych. Ale takie są konsekwencje postaci doktora Faula w kreacji Kazimierza Brandysa. Ustawienie doktora Faula w pustce społecznej uniemożliwia analizę rewolucji, uchylenie w stosunku do doktora Faula odpowiedzialności moralnej uniemożliwia ocenę rewolucji. Pisarz wymamrował rewolucję poza sferę poznania i osądu czytelnika.

Na tym kończy się pierwszy akt obrony doktora Faula.

CZYTELNIK w roku 1956 jest krytyczny, patrzy na rzeczy realistycznie, ma głód wiedzy, głównie wiedzy społecznej. Po pierwszym akcie obrony czytelnik odpowie autorowi mniej więcej tak: My znamy doktora Faula. Spotykaliśmy go nieraz i wiemy, że jest zwykłym człowiekiem. Jeżeli dziś rewolucja dokonuje wielkiego wysiłku poznania samej siebie, to żądamy od pisarza, by pokazał nam doktora Faula bez magicznych akcesoriów, którymi tamten tak długo się otaczał za drzwiami swych gabinetów. Nie zapomnieliśmy lekcji realizmu, jakim nam literatura udzielała od czasów Balzaca, i wiemy, i kimś środkami pisarz dysponuje, by przedstawić postacie ludzkie. Odrzucamy konstrukcję demonicznego Faula, nie poddającego się naszym ocenom, gdyż nie odpowiada nam już model bohatera-cudotwórcy, który wie za miliony. Doktor Faul nie może być już dla nas niepoznawalnym tabu,

Wysiliśmy już bowiem z etapu kultu jednostki.

Alie nie chodzi tylko o samą osobę doktora Faula. Wiemy, że choćbyśmy jak najdokładniej badali tego człowieka, w jego duszy, w jego charakterze, w jego osobistych błędach, zaletach czy wadach nie znajdziemy pełnego wytłumaczenia przyczyn procesów społecznych, pełnego wytłumaczenia błędów okresu, który zniszczył zespół „Grenady”. Szukać tych przyczyn w niednych charakterach Miernika, Swatkowskiego, Remy Sulce, czy może w słabych charakterach Piotra lub Wojnara, to znaczy nie rozumieć procesu społecznego. Nie jesteśmy przecież tak naiwni, by np. przyczyn zła kapitalizmu szukać w złym charakterze kapitalisty. Wiemy, że również i „dobry kapitalista” będzie stosował wysiłek, gdyż czynny jego są zdeminiowane społecznie, działa on bowiem jako przedstawiciel klasy kapitalistów. Takie postawienie problemu umożliwia znacznie głębsze wnikięcie w przyczyny spraw społecznych, wnikięcie w kapitalizm. Jest to właśnie zdobycz marksistowskiej analizy społeczeństwa.

A zatem i w tej analizie nie możemy zatrzymać się na osobie doktora Faula. Domagając się realistycznej przedstawienia postaci doktora Faula, jednocześnie sięgamy poza nią.

W opowiadaniu Brandysa doktor Faul jest bez zaplecza społecznego, jest niejako autonomiznym elementem procesu społecznego. Inni są z niego lub przez niego, on jest sam z siebie. My wiemy, że to nieprawda. Doktor Faul ma swoje zaplecze społeczne. Chcemy to zaplecze poznać. Nie możemy usprawiedliwić pisarza za to, że przystępując do obrony doktora Faula pozostawił metodę realizmu za drzwiami. Nie możemy usprawiedliwić pisarza za to, iż przyczyn procesu społecznego usiłuje doszukać się w czeluściach moralnych demonicznej jednostki chociażby powielonej przez tysiąc egzemplarzy. Nie tu trzeba szukać rozwiązania. Chcemy poznać, jakie siły społeczne wyniosły doktora Faula. Autor opowiada ogólnikowo: rewolucja. My traktujemy rewolucję jako rzecz ludzką. Rewolucja jest dziełem ludzi i przez ludzi może być a nawet musi być poznana. Poznania tego jednak nie zastąpią werbalistyczne zaklecia o „siłach rewolucji, których ona sama zdaje się nie wytrzymywać”. Rewolucja — zgodnie z jej naukową teorią — to nie zwiol ślepy, który raz wywołony nie da się już kierować. Rewolucja to kierowana inicjatywa mas. Siły rewolucji to siły określonej geniezy i profilu społecznym, o określonej strukturze klasowej. Siły te działają w obiektywnych warunkach społecznych, podlegają obiektywnym prawom rozwoju społecznego. Siły te i warunki ich działania można zanalizować, zbadać i poznać.

A jeśli poznać, to również ocenić. Tak jest — również ocenić. Ocena rewolucji, rzeczy ludzkiej, przez ludzi i dla ludzi dokonanej, mieści się w prawach człowieka, prawach pisarza i prawach czytelnika.

Czy rewolucja odpowiada za fałszywe metody doktora Faula? Siły rewolucji znamy konkretnie. To partia i masy narodu kierowane przez nią. To partia z szerokiemi zaplecem mas pracujących jest tą siłą, której przysługują ponadosobowe atrybuty, jakie autor chciał przypisać doktorowi Faulowi. Wobec partii jako hegemonu rewolucji nie możemy stosować kryteriów jednostkowej odpowiedzialności. Tu są na miejscu słowa o wielkich racjach i historycznych koniecznościach. Czyny partii były uwarunkowane historycznie i społecznie. Tu jest miejsce na rozróżnienie tego, co historycznie uzasadnione, od tego, co indywidualne, ludzkie i możliwe do uniknięcia. Ale tak możemy postąpić, jeśli nie będziemy utożsamiać doktora Faula z prawdziwymi siłami rewolucji, z partią, jeśli mamy realistyczną koncepcję rzeczywistości społecznej, a nie jej koncepcję idealistyczną, którą nam podsuwa autor „Obronny Grenady”. Doktor Faul poznany i osądzony powinien odejść. Czy wobec tego nie powstanie próżnia społeczna, czy nie zawali się rewolucja? — zdaje się pytać autor. Nie, gdyż pozostanie to, czego do doktora Faula nie można zredukować — pozostanie klasa robotnicza i jej zorganizowany oddział, z doświadczonego kierownictwem, pozostanie sojusznik robotniczo-chłopski.

Doktor Faul jako człowiek i rewolucja jako rzeczywistość społeczna w utworze pisarza powinni przysięść do czytelnika i zdać mu sprawę z dzieł swoich. I nie uda się schować doktora Faula za rewolucję, ale również nie uda się umniejszyć rewolucji do wymiarów doktora Faula.

Akt II

AUTOR: zaczyna obronę Faula akt drugi. „W ciągu trzech następnych lat straciłem kontakt z „Grenadą”, mówi pisarz, a Just, którego później spotyka, zaczyna swoje opowiadanie od słów: „Długo ciebie nie było, nie nie wiesz”. Przy pomocy tych kilku zdań autor przenosi siebie i czytelnika do innego czasu, przeskakuje nad całym okresem. Pisarz w swoim utworze ma wla-

(Dokończenie na str. 6 i 7)

Problemy wczorajsze i problemy dzisiejsze

ISTNIEJE w naszej prasie pewne zjawisko, które by można nazwać uprzejmym rozmiłowaniem się z czytelnikiem. Autor artykułu zapraszający jest w jakiś program, w jak-żakże ten i na tym tle snuje swoje rozważania, bez oparcia ich o konkretne społeczne przedło, bez uwzględnienia prawdziwych, nie wymagających warunków, w jakich żyje czytelnik. Najczęściej są to jakieś problemy wczorajsze, z owego historycznego wczoraj, które wy-żółbiło w mózgu głęboki ślad, wy-tywały powiem myślowy nawyk, nie pozwalający dostrzec, że to wczoraj istniejące tylko w pamięci tych, co je przeżywali, natomiast dziś zdająco już wyłonili z siebie problemy inne, w pewnych wypadkach tamtych przeciwstawne, w innych nawet z nimi zbieżne, lecz ze względu na zmienione warunki społeczne wymagające innej terapii niż zalecana wczoraj.

Polemizując z moim artykułem p.t.: „Chryścianizm różnie powoli”, p. Kolendo pisze, że kierunek swej polemiki przesunął nieco o bok artykułu z „Masses Ouvrières”. Tró-chę to i prawda, lecz stało się tak dlatego, że artykuł ten przechodził o bok istotnych problemów i tró-dności n a s z e g o życia. No jasne — powie ktoś — musiał obok nich przechodzić, gdyż odnosił się nie do nich, lecz do stosunków francuskich. Na to pozwolę sobie odpowiedzieć, że jeśli artykuł nie jest zamiesz-czony w przeglądzie prasy, lecz na pierwszej stronie pisma, bez własnego komentarza z wydrukowaną małańkami literkami u spodu uwaga, że jest to przedruk, wtedy nie trudno wysnuć wniosek, że wyrażo-żone w nim poglądy pismo uważa za własne, aktualne również na na-

szym terenie i z nimi w pełni się solidaryzuje.

Na tym właśnie polega wspomina-nie na początku zjawisko rozmi-łowania się z czytelnikiem, któremu podsuwa się problemy powstałe w innych warunkach społecznego by-ctwowania, a więc albo u nas przed przewrotem, albo też w krajach, w których przewrotu nie było, i każ-że je uważać za własne.

Francuski autor żyjący w ustroju kapitalistycznym może się ludzi, że wszystkie trudności społecznego ży-cia, wszystkie krzywdy, niesprawie-dliwości i wynaturzenia mają swe źródło w tymże ustroju i dlatego może mieć ze złe swym katolickim współwyznawcem, że nie chcą się czynnie zaangażować w działanie dające do zmiany ustroju, do wpro-wadzenia na jego miejsce innego, który niejako „z mocy samego pra-wa” usunie wszystkie niedomagania i wrzody społecznego życia.

Jasne, że my nie możemy rozu-mować w ten sposób, gdyż my je-stemys już dalej. Nie możemy prze-kreślać własnych doświadczeń, gdyż to byłoby niewybaczalna, karygod-ną lekkoomyślnością. Przecież my już u siebie ustroju kapitalistycznego nie mamy, wskutek tego nie mamy również bezrobocia, a przynajmniej nie mamy go w takim nasileniu by mogło stać się problemem społecz-nym. Mamy natomiast prostytucję nieletnich, pijanstwo i złodziejstwo we wszelkich odmianach: od małań-kiego kentu do wielkiej malwersacji — a więc to wszystko, co przed-mem kładło się na karb nędzy współ-żyjącej z bogactwem klas uprzywile-żowanych.

Do niedawna jeszcze mieliśmy dla usprawiedliwienia tego stanu rzeczy gotową wymówkę, że są to pozosta-

łości dawnego, demoralizującego człowieka ustroju kapitalistycznego. Jednak to wyjaśnienie, mogąc mieć pewną siłę wymowy jeszcze kilka lat temu, teraz już jest całkowicie nie przekonujące, gdyż nasilenie przestępczości nie maleje, lecz wzra-śta, a największy jej procent wy-stępuje wśród najmłodszych roczni-ków, a więc wśród tej młodzieży, która ustrój kapitalistyczny zna tyl-ko ze szkolnych czytańek.

Wolno każdemu szukać środków zaradczych na taki stan rzeczy w tym, co jego rozum i sumienie uzna za słuszne, lecz chyba dziwne by było, gdyby katolik szukał ich w czym innym, jak w najbardziej su-rowym i konsekwentnym nawrocie do zaprzeczonych prawd i wskazań Ewangelii.

P. Kolendo mówi — za francu-skim autorem — o minimalizmie wyrażającym się w przestrzeganiu dziesięciorga przykazań, cytując na-wet O. Woronieckiego. Wiemy o tym dobrze, że przestrzeganie dziesię-ciorga przykazań jest dla katolika minimalizmem, ale też nikt nam nie każe na tym minimalizmie po-prześcić. Wystarczy wziąć do ręki pierwszy lepszy podręcznik teologii moralnej czy mistycznej, aby się przekonać, że jest to zaledwie sto-pień pierwsz, w języku fachowców zwany „oczyszczającym”. Mogłabym pomyśleć się również na swój własny artykuł sprzed paru lat zatytu-łowany: „Przekleństwo polowiczno-ści”, w którym na marginesie „Sed-na sprawy” Greene'a starałam się wykazać, że wszystkie nieszczęś-cia bohatera książki, poprawnego katolika kończącego świętokradziwem i samobójstwem, płyną właśnie stąd, że ogranicza się na tylko do nega-tywnej strony wiary, a więc do

neprekręcenia przykazań. W tej chwili jednak nasza konkretna sy-tuacja społeczna wygląda w ten sposób, że czulabym się szczęśliwa, gdybym mogła żyć wśród ludzi, któ-rzy by w dziedzinie moralnej mieli ambicję przestrzegania bodaj tych podstawowych dla społecznego por-ządku przykazań.

Na tym właśnie polega trudność polemiki, że p. Kolendo — i wielu innych publicystów snujących teo-rytyczne rozważania — wzięł przed sobą mityczny postęp i abstrakcyj-ną ludzkość, w dodatku widzi ją najczęściej na odległych krzyżach, a więc w warunkach niedo-stępnych bezpośredniemu poznaniu, podczas gdy ją widzę konkretnego, żyjącego obok mnie człowieka, któ-ry wcale nie stał się szczęśliwszy ani lepszy przez to, że już ma nylonowe pończochy i aparat radiowy, mam więc podstawę wątpić, czy się nim stanie, gdy będzie mógł jeszcze kupić sobie motocykl.

Więź słyszymy o tym, że mamy „czynić sobie ziemię poddaną”. Temu nikt nie przeczy i od czasów biblijnych aż do tej pory nikt chy-ba nie kwestionował słuszości tego zalecenia. Sądzę jednak, że w tej chwili powinniśmy już iść dalej i także technię robić sobie poddaną, nie zaś odwrotnie, być w ten spo-sób dochodzi się do absurdu, w który by nikt nie był zdolny u-wierzyć w okresie świtu epoki maszynowej, mianowicie do tego, że im bardziej roznazają się maszy-ny, tym bardziej człowiek jeży pod brzemieniem walczącej się na niego pracy. I to pracy podwójnie utru-dzającej, mechanicznej, gdyż nie dającej mu możliwości zaangażowa-nia w niej pełni swych władz psy-chiecznych i umysłowych, a wsku-

tek tego w pewnym sensie rów-nież demoralizującej i degenerują-cej.

Należałoby więc może zastanowić się nad tym, czy ten zawód, który sprawiły człowiekowi maszyny, nie umniejszając ciężaru pracy, lecz ty-lko zmieniając jej rodzaj, nie poho-dzi z faktu nadmiernego rozbudo-wania potrzeb — i to rozbudowa-nia ich w niewłaściwym kierunku? Prawda, że przyrost naturalny lud-ności był w ciągu ostatniego stule-cia tak wielki, jak jeszcze nigdy przedtem, ale postęp techniczny, a zatem ilość pracy wykonanej przez maszyny w stosunku do tej, którą mogłyby wykonać ludzkie ręce — niewątpliwie go przewyższał. Dla-czegóż więc człowiek, do którego dyspozycji stoją już tak wielkie, wręcz nieograniczone siły przyrody, często jest ledwo żywy z utrudzenia? Czy w świetle tych faktów nie należałoby patrzeć na postęp techniczny raczej jako na zło konieczne, ze względu na gę-śność zaludnienia i mocno trzyma-go w ryzach, zamiast iść ślepo w tym kierunku, w jakim jego rozpu-dzony dynamizm nas popycha?

Czyż nie jest to czymś pomijają-cym dla wielkiej ludzkiej godności, jeśli człowiek oddaje wszystkie swo-je siły, poświęca swój spokój, rado-ść, szczęście rodzinnego życia, marnuje wszystkie swe lepsze mo-żliwości po to, by powiesić na so-bie jeszcze jedną kolorową szmatkę lub umebłowac mieszkanie jeszcze jednym sprzętem zawiadającym w ciasnocie, rabującym reszki drogo-cennej — choć bezpłatnej ciszy?

To są istotne problemy naszych czasów, problemy w całym tego sło-wa znaczeniu aktualne, dzisiejsze, a nawet jutrzejsze, gdyż w przyszło-

ści — w razie pozostawienia sprawy jej własnej, mechanicznej; logi-ce rozwoju — stan ten musiałby ulegać coraz większemu zostrzeniu. I to są zarazem problemy wspólne i nam i kapitalistycznym krajom, co świadczy o tym, że już w na-szych czasach — właśnie wskutek nieprawdopodobnego rozwoju tech-niki — świat stał się jednością i że epoka wyciska na nas piętno sil-niejsze nawet, niż nasze przekonania.

Oczywiście, że to „piętno epoki” nie oznacza jakiegoś fatalistycznego determinizmu. Zdajemy sobie dosko-nale sprawę z tego, że epoka, w której żyjemy, nie wzięła się z ni-czego i nie jest wypatkową ślepej gry niezranych nam bliżej sił kos-micznych, że na to, ażeby taka wła-śnie epoka mogła powstać musiał zleżyć się trud wielu pokoleń od-dających swe siły i swą intelligen-cję problemowi coraz dalej idących odkryć i ulepszeń technicznych. To pczwała nam wierzyć, że dostrzeż-szy groźne zło kryjące się w tej jed-nostronności, potrafimy przygoto-wać nadejście epoki następnej, w której rozwój człowieka będzie przebiegał bardziej prawidłowo, a więc bardziej wszechstronnie. To przecież jest ta dialektyka niepow-strzymanych przemian, w których dziś powstaje z wczoraj już służy nadchodzącemu jutru.

W tym nadchodzącym jutru, któ-re musimy przygotować już dzisiaj, katolicyzm ma do odegrania ogrom-ną rolę: rozbudzenie w człowieku pragnienia dóbr duchowych, przez których rozdzielenie — jak już to Sokrates zauważył — nikt się u-boższym nie staje!.

W swej „Glosie polemicznej” Ka-zimierz W. Olszewski zauważa słusz- (Dokończenie na str. 7)

TRZEBA przyznać p. Kocwie, że porusza sprawy ważne, problemy niewątpliwie istotne, czyni to jednak w sposób, który musi prowokować do polemiki i to do polemiki dotyczącej spraw zupełnie zasadniczych.

Cóż bowiem wynika z rozważań p. Kocwy na temat „problemów wczoraj-szych i dzisiejszych”?

Po pierwsze — że postęp technicz-ny nie czyni człowieka ani lepszym, ani szczęśliwszym.

Po drugie — że wszelkie reformy społeczne, przemiany ustrojowe nie mają sensu, jeżeli ich skutkiem bez-pośrednim nie jest podniesienie po-ziomu moralnego społeczeństwa.

Po trzecie — że wzrost potrzeb materialnych prowadzi do zaniku potrzeb duchowych.

Po przeczytaniu artykułu p. Koc-wy narzuca się pytanie, czy zatem nie jest słuszniej i lepiej zrezygno-wać z tego wszystkiego, z postępu w dziedzinie nauki i techniki oraz w dziedzinie społecznej, ograniczyć roz-rost potrzeb materialnych człowieka, nie usiłować ich zaspokajać.

Pani Kocwa w sposób zamierzony czy nie zamierzony prowadzi do pes-ymistycznej oceny już nie tylko ta-kich czy innych przejawów rzeczy-wistości socjalistycznej ale w ogóle całej cywilizacji współczesnej. To bo-wiem, co określamy przez postęp techniczny i społeczno-ekonomiczny, ma według jej opinii detronizować ludzkość. Zamiast wyzwalać człowie-ka, oddaje go w niewolę ślepych sił i mechanizmów, które sam odkrył i wyzwolił; zamiast go moralnie pod-nosić — demoralizuje, zamiast czynić szczęśliwym — unieszczęśliwia.

Można się uśmiechnąć w momen-cie, gdy tok rozumowania zostaje do-prowadzony do absurdu. Choćby wiedzy, gdy p. Kocwa istotny pro-blem naszych czasów widzi w tym, że człowiek „marnuje wszystkie swe lepsze możliwości po to, by po-wiesić na sobie jeszcze jedną kolo-rową szmatkę lub umebłowac miesz-kanie jeszcze jednym sprzętem za-wadzającym w ciasnocie, rabując resztki drogiej ciszy choć bezpłatnej ciszy” albo gdy twierdzi, że ona „wi-dzi konkretnego człowieka, który wcale nie stał się lepszy ani szczęś-liwszy przez to, że już ma nylonowe pończochy i aparat radiowy”, wobec czego ma „podstawy wątpić, czy sta-nie się nim, gdy będzie mógł jesz-cze kupić sobie motocykl”. Można — jak mówię — uśmiechnąć się w tym momencie, ale nie można jednocześnie nie oburzyć się, gdy widzenie i ocena współczesnej rzeczywistości, są jednostronne, niepełne, co wię-ciej, gdy są krzywdzące i dla tej rzeczywistości, i dla współczesnego człowieka. Jeżeli prztem od tego ro-dzaju krańcowych wniosków dochod-zi się z pozycji katolickich — sprawa staje się jeszcze bardziej niepo-kojąca.

Problematyka współczesnej zach-odzących zjawisk jest niewątpliwie trudna i skomplikowana. Ani zjaw-isko rozwoju technicznego, ani zjaw-isko rozwoju społecznego nie prze-biega w sposób prosty, mechaniczny, z góry ustalony i wiadomy. Jest wie-le aspektów, które niepokoją, budzą obawy, każdy z nich może być podję-ty i w zależności od postawy stanowić argument ideologiczny. To jest nie-odowne, ale trzeba również starać się o to, aby mentalność współczes-nego katolika została oczyszczona z dawnych nawyków myślowych. Jest pewne, że na to, aby dokonywać oc-eny zjawisk współczesnego życia, trzeba zerwać z metodą fałszywych u-proszczeń, trzeba przestać szukać dawnych wzorów, do których usiłu-je się je sprowadzić.

Człowiek i postęp. Zagadnienie,

które istnieć będzie tak długo, jak ludzkość, ale na pewno w każdej epoce historycznej będzie miało inne aspekty, inne napięcia, inny wyraz i inne znaczenie. Nie można tych problemów ani uszytkować, ani zacień-kać według dotychczasowych do-świadczeń, bo żadne z nich nie oka-że się adekwatne w stosunku do no-wej rzeczywistości.

Pani Kocwa twierdzi, że jej pole-miści operują pojęciem abstrakcyjnej ludzkości i mitycznego postępu — ona natomiast konkretem rzeczy-wistości i konkretem człowieka. Mnie się wydaje, że ten konkretny p. Koc-wy zatłumacza mocno schemat i to niezbyt dokładnie zweryfikowanym, zatłumacza przy tym — mimo szczegó-łowych uaktualnień — typowo dzie-więtnastowiecznymi argumentami, atmosferą ówczesnej romantycznej reakcji na pozytywizm. Ale zacznijmy od początku, a więc od sprawy techniki.

P. Kocwa oskarża postępn technicz-ny o to, że sprzeniewierzył się swe-mu celowi, którym jest dobro i

popularniejszą i najbardziej chyba niewątpliwą w swoich zwycięstwach postacią ludzkiego działania. Rozwój i postęp w dziedzinie technicznej prowadzi przecież zarówno do zwie-łokrotnienia ludzkich sił, jak i do zrealizowania w o wiele szerszym zakresie możliwości i zdolności po-znawczych człowieka.

Technika dała człowiekowi nie tyl-ko narzędzie i nie tylko narzędzie to stałe doskonałe, ale także wzbogaca ludzkie życie w jego całej wszech-stronności, od rozwoju nauki do roz-woju sztuki. Czym byłaby gasza współczesna wiedza bez rozwoju techniki, czym chociażby współczes-na medycyna? Przecież to właśnie dzięki technicznemu udoskonaleniu odkryto szereg elementów dotąd niez-nanych, umożliwiając walkę z cho-robą, kalcetwem i śmiercią. Techni-ka udoskonalila nie tylko ludzkie rę-ce, ale ludzkie oczy i uszy, uczynila z ludzkiego mózgu instrument bar-dziej czuły niż dotychczas. W obliczu tych niewątpliwych osiągnięć śmie-szne jest, absurdalne i naiwne glo-

pracy wykonywana jest ręcznie, gdzie ludzki wysiłek dlatego jest większy i mniej produktywny, że za-mało, o wiele za mało mamy maszyn. W naszych warunkach można mówić o większym trudzie pracy i mniej-szym stopniu jej bezpieczeństwa właśnie z powodu braku maszyn. Nam nie grożą jeszcze owe niepokoj-ące dla indywidualnego rozwoju człowieka skutki pełnego zmehani-zowania toku produkcji i mówienie o nich na razie jest chyba przed-wczesne. Potrzebny nam jest natom-iast ogromny wysiłek, aby nadrobić cale lata dawnego zacofania, la-ta barbarzyńskiego prymitywizmu w dziedzinie pracy.

W naszych warunkach jest ostrze-ż i wyraźnie widoczne, jak i o ile wie-dza i osiągnięcia techniki służą ogó-łowi dla polepszenia warunków pra-cy i warunków bytu oraz ile jest tu jeszcze do zrobienia. Socjalizm po-zwolił na planowanie gospodarcze w o wiele bardziej pełny, realny spo-sób niż to się dzieje w innych syste-mach gospodarczych i niezależnie od

średniego reformowania świata po-przez reformowanie samego siebie w sensie doskonalenia się we-wnętrznego człowieka, bo ta jest w sposób niedostateczny społecznie skuteczna, co nie trudno udowodnić w oparciu o historię, ale dążenie do przemian ustrojowych oraz udział w realizowaniu form ekonomicznie bardziej dostosowanych do możli-wości wytwórczych człowieka, form sprawiedliwych i słuszniejszych w danym okresie historycznego roz-woju ludzkości. Nie można nie wi-dzieć, iż w socjalizmie istnieje wyra-źnie moralno — społeczna tenden-cja i nie można tej moralnej siły socjalizmu ani zaprzeczać, ani lek-kewać.

Trzeba zwrócić uwagę na to, że ocena współczesnej zachodzących zjawisk naszego życia społecznego i kulturalnego cierpi przede wszy-stkim z powodu zbyt krótkich okre-sów czasu, w jakich te zjawiska są rozpatrywane. W tych krótkich, pełnych napięcia okresach nasilenie przeciwieństw jest specjalnie ostre. Nowe warunki, odkrycie przez człowieka nowych możliwości i nowych wartości sprawia z kole-i, że w pośpiechu degraduje się nie tylko to, co na tę degradację fak-tycznie zasługuje, ale usuwając sta-re formy pozabwia się nieradko rzeczywistość współczesną wartości, które mogą i powinny być dla niej istotne. Są to jednak niewątpliwie drastyczne, ale nieuniknione kryzy-sy, i jeżeli nigdy nie było tak w historii ludzkości, aby nowe rodziło się bez bólu, dlatego żądamy tego od naszych czasów, czasów rewo-lucyjnych, gwałtownych przemian. Gdy dziedzictwo społeczno — moral-ne feudalizmu ścierało się z wartościami, które odkryło i przynio-sło ludzkości nowopowstające spo-łeczeństwo kapitalistyczne, gdy tra-dycji epoki rekedzila zaczęła się przeciwstawiać rzeczywistość ekono-micznie — społeczna epoki prze-mysłowej, gdy zaczęły kształtować się nowe pojęcia i nowe wartości, czy to była walka kultury ducha z kulturą materii? Czy dziś, gdy znowu ściera się dziedzictwo jed-nej epoki z nowymi tendencjami, trzeba widzieć w tym walkę ducha z materią?

Jest jakiś poważny, zasadniczy błąd, który zresztą popełniają nie-jednokrotnie i marksści, gdy usiłu-je się w ówo ścieranie tradycji epoki poprzedniej z tendencjami współczesnymi w dziedzinie moral-no — społecznej angażować większą ilość elementów niż to rzeczywistość ma miejsce. Jest jakiś poważny i zasadniczy błąd, gdy zamiast czas i wysiłek największy poświęcić na zaradzenie, aby konsekwencje ścierania się tradycji, konsekwenc-je degradowania się wielu daw-nych pojęć i wartości nie były wy-chowawczo — destrukcyjne, aby przesilenie, które się w tej dziedzi-nie dokonuje, nie miało negatyw-nych moralnie i społecznie skutków — dążyć się przede wszystkim do ustalenia winnego. W tych do ni-czego nie prowadzących utarczkach — a właściwie prowadzących do tego, że stają się jeszcze jednym wię-ciej destrukcyjnym elementem — oskarżają jedni socjalizm, drudzy katolicyzm, a tymczasem sprawy przebiegają w zupełnie innej pla-szczyźnie i w zupełnie innym wymiarze. Jest prawdziwie tragiczna ilość nieporozumień i błędów do-konanych na tym terenie, tragiczna, bo przedmiotem ich jest moral-ność społeczna.

Jesteśmy jeszcze ciągle w okre-sie przejściowym, trudności tego o-kresu są poważne i niejednokrotnie nasilenia się wewnętrznego poza tym światem, ale przez jak największy udział w doskonalącym jego prze-kształcaniu. Nie tylko droga po-

stko składa się na trudności nasze-go dnia dzisiejszego, za które my katolicy jesteśmy także odpowie-dzialni. Jeśli należy widzieć współ-czesne problemy społeczne z per-spektywy dnia wczorajszego jak i jutrzejszego, to o roli katolicyzmu w odniesieniu do tych spraw nie można mówić z pozycji dzisiejszego przygotowywania się do jutrzejsze-go działania. Chodzi o to, aby na-sze chrześcijańskie wartości znala-zy swój wyraz już dziś, a nie dop-iero jutro. Obecny poziom moral-ności społecznej zawiłony jest tak-że przez katolików i z tego trzeba sobie zdawać sprawę. Zawiniły dlatego, że w sposób niedostatecz-ny ukazywali i dowodzili skutecz-ności społecznej chrześcijańskich wartości moralnych. I dlatego nie wystarczy tylko wierzyć dziś, że jutro będzie się mogło działać, bo-wiem dopiero jutrzejsze warunki na to pozwolą. Aby to jutro mogło być pełniejsze w sensie możliwości wszechstronniejszego rozwoju czło-wieka, trzeba już dziś pracować nad tym, trzeba oddziaływać na terażniejszość, trzeba przekonywać o użyteczności chrystianizmu dla moralności społecznej, o zdolności mobilizowania przezeń katolików do walki o postęp społeczny.

Za tego oto „konkretnego czło-wieka” my katolicy jesteśmy szcze-gólnie współodpowiedzialni, ponie-waż właśnie my chrześcijanie od-czuwamy tak mocno potrzebę po-wiązania doskonalenia się we-wnętrznego z doskonalącym prze-kształcaniem świata.

Wewnętrzny rozwój człowieka, jego wychowanie, „reformowanie” to sprawa, której nie można na pe-wno odkładać na jakąś nieokreślo-ną przyszłość, jednakże jest ona procesem wyraźnie długofalowym. Nie można więc czekać z przebudow-ą ustroju na wynik wychowania, tym bardziej, że właśnie struktura życia społecznego ma poważny wpływ na wychowanie i kształto-wanie młodzieży. Weźmy chociażby sprawę kolonializmu, który robi z człowieka niewolnika i spycha go do egzystencji poniżej najbardziej elementarnych potrzeb. Czaj w tych warunkach może dotyczyć „moralna reforma człowieka”? Mo-że być i słuszna jest jedna o c e s z a na praca i nad zmianą warunków na coraz bardziej godne człowieka i nad samym człowiekiem, aby te nowe warunki stały się uświado-mionym i rzeczywistym elementem jego rozwoju moralnego i intelek-tualnego.

Celem socjalizmu nie jest prze-cież ani produkcja, ani dobrobyt same w sobie, ale produkcja i do-brobyt jako środki służące czło-wiekowi. Trzeba patrzeć na zjawis-ka dzisiejszego świata, na kryzy-sy i przesilenia współczesnej cywil-izacji z tej perspektywy, z której możliwy jest ich właściwy osąd. Nie wolno zwracać ani pola widzenia, ani skali problemu poprzez wąski, ograniczony teren obserwacji, po-przez jednostronność a nieradko zafałszowywanie właściwego obra-zu.

Czy dlatego, że robi się niejedno-krotnie żył użytek z wiedzy — na-leży zaniechać samej wiedzy?

Czy dlatego, że rozwój nauki i techniki dal dziś człowiekowi do ręki brzoń tworząjąca — należy zaniechać dalszego rozwoju nauki i techniki?

Czy dlatego, że w dziedzinie spo-łecznej moralności w społeczeństwie socjalistycznym mamy do czynie-nia z takimi czy innymi niepokoj-ącymi objawami, należy zaniechać walki o postęp społeczny?

Toczy się bitwa, której przedmio-tem i podmiotem jest człowiek, ale przecież dzięki tej właśnie bitwie ludzkość posuwa się naprzód

WANDA ŻUROMSKA

DEMONY TECHNIKI

czyli

o wskrzeszaniu anachronizmów

szczęście człowieka. Czy rzeczywistość takie czy inne trudności, co więcej takie czy inne błędy, takie czy inne wrzesnie nie zawsze dodatnie a czam wręcz niebezpieczne konsekwenc-je zjawiska rozwoju wiedzy ludzkiej i rozwoju historycznego ludzko-ści dyskwaliifikują ten postęp i roz-wój w oczach katolika?

Jest prawda, że między stanowis-ciem katolików w stosunku do zjaw-isk obecnie zachodzących we współczesnym świecie istnieją pow-żne i często zasadnicze zupełnie różnice. Prowadzi to, bo musi prowadzić do teoretyczno-filozoficz-nych rozważań i do teoretyczno-filo-zoficznych wniosków na temat tego, czy świat współczesny z całą złożo-nością swojej problematyki, ze wszystkimi sprzecznościami z niej wynikającymi, ze wszystkimi napię-ciami towarzyszącymi rozwojowi wiedzy, techniki, rozwojowi w dzie-dzinie zjawisk społecznych, politycz-nych i kulturalnych jest zgodny czy sprzeczny z prawdziwym duchem chrześcijaństwa.

To nie są sprawy nowe mimo oczywistego narastania, komplikow-ania się i zaostrażania problematyki. Niemal od swych początków świadomość chrześcijańska cechowa-ny bądź to wspaniałym entuzjazm w stosunku do świata jako dzieła bos-kiego, które kontynuuje wysiłek i myśł człowieka, bądź to surowa, na-miętna krytyka, która czynila świat królestwem grzechu, wskazując jako jedyną ucieczkę dla chrześcijanina życie surowe, ascetyczne, pełne wyrze-czeń.

Jest jednak faktem i temu chyba p. Kocwa nie zaprzeczy, że technika ułatwia człowiekowi coraz bardziej walkę z przyrodą, że pomaga i umo-żliwila mu w coraz szerszym zakresie czynić „sobie ziemię poddaną”. Jest ona przecież tą najoczniejszą, naj-

szenie tezy, że postęp techniczny nie jest potrzebny dla dobra człowieka i społeczeństwa. Nie przez wyrzecz-nie się techniki prowadzi droga do obrony człowieka i jego duchowych wartości. I nie przez ograniczenie jego potrzeb materialnych. Dziś, gdy wiedza ludzka, gdy możliwości czło-wieka w dziedzinie technicznej posz-ły tak daleko, wolanie: z a w r ó t c i e z d r o g i jest nie tylko absurdatne i naiwne, ale wręcz wymierzono przeciw człowiekowi i przeciw możliwościom jego rozwoju. Dziś bardziej niż kiedykolwiek po-stęp w dziedzinie materialnej stano-wi warunek, co więcej część naszej własnej doskonałości. Czyżmy więc są próby demonizowania czy zatrzy-mania go? Są wyrządaniem krzywdy każdemu człowiekowi, gdyż od-mawiają mu prawa do tych warun-ków, które umożliwiają indywidualny rozwój.

Pani Kocwa twierdzi, że współcze-śnie na skutek rozwoju techniki, zwłaszcza wskutek coraz większego zmehанизowania produkcji następu-je dehumanizacja człowieka.

Maszyna w kopalni, maszyna w hucie, maszyna na budowie — trud pracy coraz lepiej, coraz sprawniej rozdzielan między człowieka i ma-szynę. Maszyna zwiększająca możli-wości produkcji, ilość i jakość zasp-akających potrzeb człowieka, możli-wości poprawy warunków bytu w skali społecznej o ogromnym zasięgu — czy wolno te sprawy określać jako dehumanizację? „Człowiek w try-bach maszyny”, maszyna, która jak siła demoniczna zamiast służyć czło-wiekowi uczynila go swoim niewol-nikiem. Czy to się dzieje, proszę pa-ni, u nas w Polsce? U nas, gdzie jesz-cze ciągle proces produkcji jest niedostatecznie zmehанизowany, gdzie jeszcze ciągle zbyt wielka ilość

tego, że stykamy się na tym terenie z szeregiem mankamentów, braków i błędów, planowanie w skali kraj-owej jest u nas faktem i ono właśnie zapobiega dehumanizującemu cha-rakterowi produkcji dla samej pro-dukcji. Nie gdzie indziej jak w socja-lizmie właśnie, dzięki obiektywnie istniejącym warunkom może realizo-wać się ów ideał ekonomiczny, w którym praca i produkcja posiada wartość nie sama w sobie lub dla indywidualnego zysku, ale dla dobra wspólnego, ideał świadomej i odpow-iedzialnej, rozumiejącej działalności ludzkiej, dzięki której wiedza i tech-nika stają się narzędziami dobra wspólnego, budowanego dla wszyst-kich.

Humanizacja techniki, albo — jak mówi p. Kocwa — „robienie techniki sobie poddaną”, to przede wszystkim sprawa tego, czemu człowiek i maszyna służą i o ile ten cel jest uświadamiony przez czło-wieka.

Trzeba posiadać zarówno jakiś stopień moralnego i intelektualnego rozwoju, aby wstydzić się ludzkiej krzywdy i niesprawiedliwości, trze-ba posiadać jakiś stopień świadom-ości społecznej, aby czuć się za nią odpowiedzialnym. Ale ta świad-omość n.e. rodzi się w odróżni spo-łecznej i nie rodzi się właśnie, pro-szę pani, u abstrakcyjnego człowieka, lecz u człowieka konkretnego, historycznego, który jest związany ze swoją społecznością moralnymi więzami i dlatego chce ją widzieć lepszą i bardziej sprawiedliwą.

Nie przez rezygnację, czy uciecz-kę od świata, w którym się żyje, i nie przez fikcję możliwości dosko-nalenia się wewnętrznego poza tym światem, ale przez jak największy udział w doskonalącym jego prze-kształcaniu. Nie tylko droga po-

ARCHITEKTURA NIEBA



DOŚLIŚMY do momentu, kiedy część krytyków od blisko dwu lat szkalujących nasze wątpliwe osiągnięcia kulturalne ostatniego okresu ogarnęła konsternacja. Teraz nie szuka się dziur w całym, ale całego wśród dziur. Podawana sobie wzajemnie cegła okazała się serem szwajcarskim.

Ostra krytyka straciła już atrakcyjność. Istnieje, ale nie czyni takich spustoszeń i zamętu jak przed rokiem. Krytycy nabrali rutyny, a rutynowi okrzepli. Pojawiają się próby dyskretnego odbielania. Z drugiej strony występuje potrzeba ujawnienia prawdziwych osiągnięć czy pozycji, które stanowią nasze rzeczywiste aktywa artystyczne.

I tak w architekturze okazało się, że najniebezpieczniejszym osiągnięciem są polskie pawilony na wystawach zagranicznych (oprócz nielicznych realizacji krajowych jak np. Stadion Dziesięciolecia). O ironio, grupka ludzi, którzy po cichu w pełnym oderwaniu — ba, sprzecznosci — od tego, co działo się w międzyczasie w krajowej architekturze, pracowali w wystawiennictwie, bronili honoru polskiej architektury. O tym honorze zresztą

je artystyczne credo. Joanna Guza — specjalistka od współczesnego malarstwa stawiająca Celnikiera między Rembrandtem a Picasssem — odkryła wielki artystyczny Cybisa, o którym nawet ministerstwo nagłe sobie przypomniało, a ostatnie wystawy (w ZLP i ZPAP w Warszawie) odkopują z częściowego zapomnienia Nikifora.

Nikifor wiąże się z problemem tradycji i folkloru, a równocześnie z problemem nowoczesności w sztuce. Jest to problem szeroki i aktualny zarówno w plastyce, jak w muzyce. Są nawet pewne wspólne elementy, które odróżnić można do obu tych dziedzin sztuki.

Kiedy ostatnio pisałem o jazzie, zostałem oskarżony przez Artura Hoffmana („Dziś i Jutro” nr. 8, „Po co ta lekceja”) o lekceważący stosunek do rodzimego folkloru. Okazało się, że mierzę „nasz i obcy folklor muzyczny dwoma różnymi miarami”. No trudno, mam dwie miary, a Hoffman ma jedną — przyciążając — najbezpieczniejszą, ostrożnie umiarkowaną. Czytajac wzajemnie się uzupełniające i neutralizujące słowa sprzeciwu i aprobaty, które po zsumowaniu stwarzają z artykułu letnią substancję, emocjonalnie obojętą — nie dziwię się, że zażą go moja jednostronność, moje superlatywy, i „absolu-

„Trzeba być ze swego czasu, to jasne. Przemiany cywilizacyjne, techniczne muszą wpływać na moję sztukę. Ale nowoczesność, to dopiero oczywiste, ale wstępny warunek” — pisze Artur Hoffman. Nie rozumiem wprawdzie ostatniego zdania, ale wydaje mi się, że czuje jego głębokie znaczenie, tak jak Hoffman wyczuwał w moich wywodach o jazzie kompleks niższości, „kompleks polskiej... europejskiej prowincji”. Chciałbym się wytłumaczyć, że dla mnie wartość folkloru jest wartością jego aktualności. Folklor żyje poprzez inkarnację. Promieniuje na artystę, który jest w jego zasięgu — ale są chwile, kiedy dominuje nad wieloma artystami. Nie odnosi się to bynajmniej całkowicie do jazzu. Potęga jazzu leży w tym, że potrafił sobie znaleźć bardzo niezależne miejsce we współczesnej sztuce. Jazz nie dał się w zasadzie wcielić w istniejące ramy — stworzył własne.

W gruncie rzeczy cała historia kultury to historia dominaty i włączania się poszczególnych „folklorów”. Nurt sztuki — który później nazywa się nurtem ogólnoludzkim — wchłania w siebie osiągnięcia regionalne. Następuje jakaś unwersalizacja folkloru. Obiektywne prawa rozwoju sztuki, siła, wrażliwość i intuicja twórcy decydują w sprawach, o których nie może przesądzić żaden ministerstwo, żaden historyk, żaden filozof i żaden urzędnik. Od czasów Maneta drzeworyt japoński przestał być japońskim folklorem — wcielił się we współczesne malarstwo. Nie byłoby bez niego np. Cybisa, chociaż nawet Rivera odczuwał cybisowską polskości. Bez Chopina nie byłoby Wagnera, a bez Wagnera — Debussy’ego i całej współczesnej muzyki. Prawdziwa użyteczność folkloru zaczyna się z chwilą przetworzenia go na język uniwersalnej i odkrywczym sztuki.

Folklor murzyński w drugim dziesięcioleciu naszego wieku przeżywał swoją aktualność zarówno w muzyce, jak w plastyce. I tak jak współczesna plastyka wchłonięła rzeźbę murzyńską, tak muzyka wchłonięła jazz. Dziś — po kilkudziesięciu latach o jazzie nie można właściwie mówić jako o folklorze w ścisłym znaczeniu. Jazz, który narodził się w zetknięciu ze współczesną cywilizacją, jest bez niej nie do pomysłenia — tak jak ta cywilizacja bez niego.

Nie chcę pomniejszać znaczenia i piękna polskiego folkloru, ale chcę pomniejszyć zakres tego, co tym folklorem nazywamy. Większość tańców, którymi w ostatnich latach próbowano zastąpić eksmitowany kosmopolityczny jazz, z ludowością ma bardzo powierzchowny związek: nazwa, rytm i wulgarnie wykorzystany temat muzyczny nie mają nic wspólnego z twórczą kontynuacją folkloru. W większości były to mierne utwórki komponowane przez miernych kompozytorów. Zachwycając się tego rodzaju polskością byłoby ołudą. Równie mało polskie są banalne tanga czy grzeczne fokstroty, które w najcięższych dla sztuki momentach miały prawo obywatelstwa. A więc pozostaje autentyczna ludowa twórczość w zapłach autowych czy w nagraniach, które niezmiernie rzadko można słyszeć w Polskim Radio. Temu gatunkowi autentycznej muzyki każdy rok przynosi gróźbę zmniejszenia cech autentyczki.

Niestety, mimo opieki Państwa i kultury folkloru w wiejskich zespołach świetlicowych czy regionalnych — coraz silniejszy wpływ cywilizacji miejskiej wypacza charakter tej ludowej sztuki. Jaka jest jej twórcza kontynuacja? Wydaje się, że w muzyce tanecznej, użytkowej — przynajmniej na razie — żadna. Jedynym dowodem może tu być smak i kryteria, którymi ocenia się w ogóle muzykę. Hoffman pisze, że „nie pamiętam o sukcesach Mazowsza i Śląska” — ale przecież to nie jest muzyka taneczna. To jest stylizowana muzyka ludowa, której urok można porównać z urokiem odrestaurowanych staromiejskich kamieniczek. Bezprzebieżna twórcza kontynuacja ludowości to współczesna muzyka symfoniczna, nie trzeba wspominać

Szymanowskiego — Lutosałwskiego — to nasza największa dumą.

ORYGINALNY współczesny folklor w plastyce, o tak świetnych tradycjach w rzeźbie ludowej czy w malarstwie na szkle, jest podobnie jak w muzyce zagrożony wpływami środowisk miejskich i czerpanych z nich wzorów. Najbardziej autentycznym zjawiskiem na tym polu — mimo że trudno je nazwać czystym folklorem, bo jest również przesiąknięte współczesną cywilizacją miejską — jest malarstwo Nikifora. W żadnej chyba dziedzinie sztuki ludowej nie ma osiągnięcia na taką skalę, jaką stwarza ten pozornie prymitywny i niedorozwinięty artysta. Fenomen sztuki tkwi zarówno w bogactwie formalnym i emocjonalnym — jak i w zaskakującej niekiedy nowoczesności wypowiedzi. To jest jedna z wybitnych pozycji naszej współczesnej plastyki.

W moim osobistym przekonaniu Nikifor jest największym polskim malarzem. Jest to malarz, którego trzeba traktować poważnie, bo jego sztuka nie ma nic wspólnego z kąpią i — co najważniejsze — trudno ją nazwać prymitywną. Nikifor posługuje się skrótami i symbolami bliskimi współczesnego malarstwa i jest tak ogromnie poetycki, że ludzie wyśmiewający jego obrazki sami najlepiej dowodzą własnego prymitywizmu.

Jest chyba tylko jedna postać, z którą można zestawiać Nikifora — to jest Celnik-Rousseau. Cała plejada francuskich prymitywów, na czele Celnika: Vivin, Bombois, Guerin, Greffe, Demonchy, Bertheau — wydaje się w swoim graficznym i dość sprytnym naiwnym malarstwie (może oprócz Bombois) gromadą spryciarzy, która dobrze wyczuła koniunkturę i smak publiczności. Więcej tam wiedzy i smacznie wykrzywionych domów w umownej i fałszywej perspektywie niż żarliwości, jaką ma każdy obrazek Nikifora. Czy wystawa tego polskiego artysty za granicą nie wzbudziłaby dużego zainteresowania?

Większość obrazków Nikifora, to malarskie bajki o mięsie. Nikifor potrafi stworzyć nastrój i wyrazić jakąś opowieść środkami bardzo plastycznymi. Posiada właściwy prawdziwym artystom instynkt organizowania swojej wizji, instynkt, który każe mu przeprowadzać ciągłą selekcję tego, na co patrzy. Nikifor nagina świat do swojej woli, porządkuje go w artystyczną całość. Nie ma u niego przypadku — cień na uliczce rzuca się tam, gdzie to jest potrzebne do plastycznego punktu widzenia — czasem domy rzucają cienie równocześnie w przeciwną stronę — to jest prawda selekcyjna, to jest wizja Nikifora.

Nikifor porządkuje rzeczywistość. Ogranicza elementy natury do tych, które mogą mu pomóc w stworzeniu syntetycznego malarskiego symbolu, pomnaża i akcentuje te elementy, które są mu użyteczne. Posiadając wielkie poczucie dekoracyjności rozbił i określa poszczególne partie obrazka przedstawiające jakiś obiekt, kontrastującymi płaszczyznami i ornamentami. Gatunek ornamentu wyraża materialność i charakter przedmiotu. Nikifor ma wielkie poczucie rytmu i element rytmu czytelny jest w każdym niemal jego pejzażu. Jest to rytmika regularna, uporczywa, wyrażająca się w szeregach równo ustawionych przedmiotów — drzewach, typowych małych drzewkach Nikifora, słupach telegraficznych, dachach domów, ulubionych kominach i dymach, które z tych kominów się unoszą. Rytmiczno-ornamentalny sposób myślenia tworzy nikiforowską architektonikę obrazu.

Potrzeba dekoracyjności wyraża się u Nikifora także w inny, bardziej dosłowny sposób — w zdobieniu malowanych domów, w do-

tawianiu wieżyczek, na których sterczą krzyże, kurki kościelne, wisa chorągwie, w budowaniu dachów, z których wyrasta las kominów z nieodłącznym, dekoracyjnym dymem. Cecha ta wiąże się z inną, głębszą, typową dla całej nikiforowskiej sztuki. Nikifor celebrował miasto, celebrował człowieka. Jego miasto jest uświetnione flagami, jest miastem uroczystym, wyjątkowo upiększonym — to jest apoteza miasta. Uroczyste lecą do góry dymy, uroczyste, porządnie ubrani są ludzie — panowie w kapeluszach, z muszkami i krawatami na białych koszulach. Domy, choć kolorowe, są poważne; chciałyby się powziąć, ale wszystko w tym nikiforowskim mieście jest zadbane. Jest to świat bez uszczerbku, piękny przez szeregi równych, zawsze zamkniętych okien, szeregi równo pociętych pól, równych dachów, czystych ulic, obsadzonych rzędami podobnych do siebie drzewek. Nikifor kocha porządek. Jego miasto są utrzymane rygorystycznie jak koszar — mają tylko trochę więcej poezji.

Podobne umiłowanie apotezy wyraża się w portretowaniu ludzi i grupach ludzkich. Nikifor niedwuznacznie lubi pomniki. Na jednym obrazku widzimy apotezę triumfu kolejarzy, którzy stoją przed wyłotem jakiegoś zapewne właśnie ukończonego tunelu. Uroczyste upozowani faceli, wąsaci, dumni stoją na podwyższeniu pałac dzwonne, kościelne latarnie, a na czapie najwyższego — jakiegoś ich generała — siedzi wielki orzeł. To jest nikiforowska parada, swoiste, bardzo ludowe poczucie godności i wielkości. Ile tu przy tym poetyki oryginalnej, ale zarazem bliskiej Celnika - Rousseau! Nikifor lubi parady, ustawia strażaków z halabardami, ustawia posągi — na jednym z nich stoi śmieszny facet z wielką harią, na innym — dostojnik cerkiewny na cokole po środku wody, gdzie indziej postać kobieca — tak jak z parodii Steinberga — wypuszcza z dekoracyjnej miski strumienie równo — jak sznurki — płynące wody.

Co za pośta z tego Nikifora, jak bardzo Polska jest jego poezją! Jak pokrewna chociażby Galszyskiemu. Jego opowieści poetyckie są przy tym tak bliskie fantastyce ludowej. Ten malarz przetwarza ludową poezję w formę pełną spokoju i stabilizacji. Nie widzę jakiegokolwiek niepokoju u Nikifora. Nastrój jego pejzaży jest kontemplacyjny, pozbawiony bezpośredniej radości — ale nie ma w nim zwątpienia, choć czasem jest łagodny smutek. Ta łagodność Nikifora, to umiłowanie spokoju — domów, w których grzeją piece, w których pali się w kuchni, bo dymy, lecą z kominów, umiłowanie nieba, na którym rzadko pojawiają się chmury, ludzie, którzy nie cierpią widocznie niedostatku, bo są porządnie ubrani — czynią z Nikifora ludowego humanistę. Idealizuje na swój sposób rzeczywistość, ale przez to uszlachetnia ją. Na autoportretach jest starannie ubranym długowłosym panem z tęczką w rękę, nie biedakiem, z którego śmieją się w Krynicy, tak jak potrafilł śmiać się w Warszawie. Sztuka Nikifora wyraża godność ludzką i wspaniałomyślność.

Nie mogę się dopatrzeć u Nikifora naiwności. Przecież to malarz wszystkiego świadomy i dobrze znający swój pozorne prymitywizmy, a tak malarsko wyrafinowany warsztat. Wystarczy wspomnieć o kolorze Nikifora, który swoją wrażliwością, subtelnością i niezwykłością potrafił pobić najlepszych naszych kolorystów. Nikifor posiada to, co malarze nazywają absolutnym słuchem na kolor. Operuje na obrazku pozornie zawiązaną gamą, z której wyzwarowuje cały świat piękna. Potrafi stosować zwykłe guzikowe akwarele w różnym stopniu sżęnienia — uzyskując dodatkowe

efekty. Nikiforowska konstrukcja, struktura linearna obrazu jest zawsze malowana gęstą kryjącą farbą, partie wypełniające traktuje z zasady bardziej laserunkowo. Lubi kolory ciepłe, bardzo nasycone, bogate — lubi kolor złoty i srebrny. Ponieważ ma ciągle kłopoty z papierem i przyborami malarskimi — maluje na różnych świątkach nierządno obszarpanych. Zakleja je niekiedy z brzegu kolorową ramką — często z tzw. marmurku, przylepia nawet z góry kawałek kolorowego sznureczka — uchwyt, żeby nabywca nie miał kłopotu z powieszeniem obrazka. Ta ramka, bordiura, jest zawsze świetnie dopasowana w kolorze do gamy pejzażu czy portretu.

Nikifor dba o swoich klientów więcej niż klienci o niego. Na każdym obrazku stara się napisać, co on przedstawia — pisze z wielkim trudem na wpół tylko znając tę trudną dla siebie sztukę. Dobrze, że nie potrafi pisać — wszystko, co chce, może wyrazić malarstwem — to jego pismo, jego sztuka. Duże litery podpisów Nikifora stwarzają dodatkowy ornament obrazu — i malarz dobrze wie, gdzie je umieścić, żeby najlepiej wiązały się z kompozycją. Pisze też zwykle cenę. Ostatnio, po wizycie w Warszawie Nikifor zdrożał. Dawniej sprzedawał pejzaże po dziwnych sumach: 7, 14, 16 zł. Teraz widziałem kupioną portret, na którym cena 20 zł jest pracowicie przerobiona ołówkiem na 50. Nikifor i tak najtaniej w Polsce sprzedaje dobrą sztukę.

Portrety świętych najlepiej wyrażają związek Nikifora ze sztuką wschodu, sztuką cerkiewną. Niektóre bliższe są jakimś średniowiecznym iluminacjom, inne bardzo pokrewne ikonom. Wszystkie są uroczyste i bogate. Bogato i godnie ubrani są kościelni dostojnicy; uroczyste pałą się świece. To jest klucz do dekoracyjności, płaskości i kolorowości malarstwa Nikifora — wyrastają one z bardzo bogatej tradycji polskiego wschodu. Czasem Nikifor przedstawia jakąś scenę religijną. Na jednym z obrazków pokazujących prawdopodobnie wstąpienie Świętego do nieba w Krynicy widzimy Go, jak odpychając się oburącz wiosłami płynie łódka po rzecze, która bezpośrednio łączy się z niebem. To cały arsenał poezji.

Niebo w dosłownym sensie jest niezmiernie ważnym elementem kompozycji Nikifora. Nie widziałem na wystawionych pejzażach dwóch podobnych do siebie kolorów nieba. To bogactwo jest zdumiewające. Ile tam rozmaitych wariantów. Kolor zawsze znakomicie trzyma całą kompozycję. Przeważnie jest to zmiernych, barwa jest głęboka, pełna nastroju i kontemplacji. Przez dłuższy czas myślałem, że malarzem nieba jest Sisley. Teraz wiem, że jest nim Nikifor.

Na tle nieba Nikifor ustawia swoją architekturę, bogatą, trochę wschodnią, trochę galicyjską, fantastyczną, pełną inwencji, udekorowaną flagami, kopułami, wieżami, fontannami i świecznikami. Nikifor jest poetą architektury i to jego największa dementa. Maluje wizje pałaców, niezwykle, barokowe i bajkowe. Cała kwintesjencja naszego południowo-wschodniego budownictwa tu doczekała się swojej apoteozy. Jest to architektura z ludowej, polskiej bajki, architektura nikiforowskiego nieba.



nikt nic nie wiedział poza gromadką wybranych. Nie docierały nawet zdjęcia ich prac — czasem przypadkowo ukazywała się wzmianka w dziennikach czy „Przekroju”. Produkowaliśmy dobrą sztukę, okazywaliśmy formalizm na eksport, podczas gdy w kraju „dla mas” — kwitła bzdura. Ta bzdura kwitła w dalszym ciągu. W ostatnim „Przeglądzie Kulturalnym” publicznie podkreślono walory pawilonów Solska i jego współpracowników, ich ekonomiczną estetykę, współczesność, a wystarczę spojrzeć chociażby na kioski MHD w naszych miastach i posłuchać, co o nich mówią użytkownicy — żeby złapać się za głowę nad takim partactwem i bzdurą. Ostatnią rewelacją są ty buki autematów telefonicznych w Warszawie: czy naprawdę nie stać nas — przynajmniej w tej dziedzinie — na coś lepszego i twaiszego?

W plastyce obronną ręką wyszedł płakać, też dzięki grupie odważnych i niezakłamanym ludzi. Triumfuje Kulisiewicz, który miał zawsze swo-

tyzacja, która nie ma sensu”. Jedni mają sens — drugim pozostają przekonania. Określając bardzo oryginalnie i poetycko jazz jako „dzieciło afrykańskiego folkloru”, Hoffman formułuje pełen odwagi domysł, iż „należy rzeczywistości przypisać, że jazz będzie nadal silnie oddziaływał na współczesną muzykę rozrywkową jak i poważną”, posuwa się nawet do tego, że nie chodzi mu „uciale o przeciwstawianie się takiej ewentualnej okresowej hegemonii ani o wykluczanie jej z góry”. Wzruszony jestem tym, że Hoffman nie chce tej hegemonii z góry wykluczać — co by się w przeciwnym wypadku stało z jazzem! Poszedłby w zapomnienie, bo „Amerykanie snobują się na europejskie średniowiecze, renesans, rokoko”, „Francuzi szaleją na punkcie opery chińskiej i Mazowsza”. — No cóż, kiapa, był jazz, nie ma jazzu. W Ameryce będą tańczyć menueta, w Paryżu Kukulczkę, a my wreszcie zasmakujemy w rodzimym oberku i w czeskiej poleczce — nie mieliśmy na to dość czasu.



EPOKA I UZURPATORZY

BOJĘ się dotykać tego tematu. Pomimo tytułów, pomimo toczących się od lat (tak, od lat!) dyskusji, zagadnienie nadal pozostało białą plamą. Zawodził ton mentorstwa, do niczego nie prowadzi ton pobłażliwości. Opadają ręce publicystom nawykłym do społecznej, klasowej oceny „wszystkich zjawisk, gdy kryzys nie tylko moralności wśród młodzieży, ale w ogóle kryzys pojęcia młodości, istnieje i tu, i tam — i u nas, i u nich — na Zachodzie.

Jakie przymierzają tutaj mustrą? Do jakich wytymaczeń się uciekają? Skoro nie są adekwatne przyczyny klasowe, więc jakie? Czy rzeczywiście należy zacząć mówić o epoce? O jej surowości?

Jest rzeczą wielce charakterystyczną, że strasznie się boimy takich „epokowych” rozwiązań. Słowo epoka zdegradowało się zupełnie, pozbawiło się rangi argumentu, rangi uchwytnej intelektualnie zjawiska. Tak jak pojęcia Literatura, Piękno. Oddaliśmy je poezji — i to prawie zawsze poezji panegirycznej.

Dlatego gdy będę tutaj próbował uchwycić kilka wyjaśnień dotyczących sprawy młodzieży, w charakterystyce naszych czasów w ogóle, czuję, że narażę się na miano idealisty (to modne ostatnio). A tymczasem... Jednak nie zjemny w wesolych (dla ostrożniejszych podają przymiokni „latwych”) czasach. Owszem, są one czasami narodzin prawdy najbardziej optymistycznej — Zwycięskiej Rewolucji. Owszem, miłowymi krokami odrabiamy zapóźnienia tych rzekomo „beztróskich” wieków poprzednich. Tak. Spoczęł na nas nie tylko obowiązek budowy nowego świata, lecz wręcz zadanie przewartościowania wszystkich niemal dotychczasowych pojęć. Stoimy u narodzin zupełnie nowej ery — i wszelki patos takiego zasadniczego przelomu historycznego został nam dany.

I u nich — na Zachodzie — pomimo sztucznych zabiegów budowy żelaznych kurtyn ten wielki proces odbija się mocnym, wyraźnym echem, chociażby w postaci gwałtownej negacji. Równie często w postaci dramatycznego wyboru.

Na razie ograniczymy się jednak do specyfiki naszego kraju, do specyfiki naszego społeczeństwa budującego już bardzo konkretnie, bardzo namacalnie kształt nowego świata. Otóż mamy tutaj do czynienia z dziełem ludzkim — to znaczy nie tylko, że nie pozbawionym błędów, ale pamiętajmy, że nie tworzą go istoty nie znające, co to zniechęcenie, nerwy, prawo (czy pragnienie?) do odpoczynku. I ze sfery konkretnych warunków, w których powstaje każda nowa idea, w których rodzi się każda nowa epoka — nie wolno zapominać o okrutnych wojnach, które między innymi są formą oporu przeciwko nowej idei socjalizmu, o szalenstwie bomby atomowej, która ma być narzędziem barbarzyńskiego szantażu, i wreszcie o tym, że nawet rewolucja przynosi nie same kwiaty. W mniejszych kategoriach nie zapominajmy o draństwie, które nadal z szanów socjalizmu kasa ludzi, utrudnia nam życie i uśmiech. Nie ograniczajmy tych spraw tylko do uogólnień na miarę doraznych artykułów interwencyjnych.

Wszystko to bowiem, w różnych proporcjach, ale skutecznie przyczynia się do dwustronności tego medalu, który nazywamy sułtaniem, ale niekiedy zbyt beztrósko naszym marszem w jasną przyszłość. Gdy dodamy nie malejące kłopoty gospodarce (naturalny opór praw ekonomicznych — to dla ostrożniejszych), gdy zdany sobie w pełni sprawie z niekilkich konsekwencji (choć stopień konieczności musi być przedyskutowany) wewnętrznego i zewnętrznego zrygowania człowieka, z antynawidualizmem, kierującego naszą sprawą, gdy zrozumiemy w pełni konsekwencje postawienia społeczeństwa (i tu, i tam) w sytuacji ciągłego, bezustannego wyboru, w stadium najwyższego napięcia emocjonalnego w stosunku do dziejącej się historii — wówczas w naszym bilansie musi wzrosnąć problem ludzkiego zniechęcenia, ludzkich nerwów, ludzkiej wytrzymałości.

Tak, dźwigamy brzemień szlachetne, podnosząc godność człowieka, ustokrotniają go, ale ciężkie. Bardzo ciężkie. Czy nie do zniesienia? Odpowiem okólnie, ale może dzięki temu zrzecmy: nasza wiara w to, że człowiek jest zdolny unieść brzemień takiej epoki — będzie najwyższą miarą humanizmu XX wieku. Humanizmu herosów.

PO co to jednak piszę? Jest bowiem rzeczą niezwykle ważną uchwycić granice tej niezbędnej, w pewien specyficzny sposób „fatalistycznej” surowości epoki i oddzielić od niej to, co korystające z jej azylu jest ludzkim nadwyżkiem i ludzkim okrucieństwem. Jest to sprawa dla mnie podstawowa, szczególnie jeśli chodzi o dyskusję o młodzieży — znoszącej męźnie i często z entuzjazmem najsurowsze rygory, jeżeli są one obiektywnie konieczne, ale niewadzące sztucznie, uzurpatorskich zakazów i nakazów.

Sprawa o tyle ważna, o ile chili-gaństwo, kłusownictwo pociowe, cynizm i beżideowość młodzieży jest tym razem ucieczką nie ze swojej klasy, nie z pewnych konwenan-

sów obyczajowych, ale w ogóle ze swojej epoki. (Czy zwrócić uwagę na przedziwny fakt, że nowym ludowym bohaterem dla naszej młodzieży stał się siedemnastowieczny Fanfan Tulipan, a nie Pawka Korczagin? Czy zwrócić uwagę na charakterystyczne zjawisko entuzjazmu młodzieży — nie mówię, że tym samym niesłuszne — dla sztuk opierających się na prymitywie, jak jazz i kubizm?). Najczęściej jednak (usuając z pola naszych rozważań jednostki w ogóle mało-wartościowe) do tej ucieczki z epoki, do tego przeskoku w prymitywizm moralny, skłaniają młodych nie te słuszne, pryncypalne rygory i obowiązki, które na człowieka współczesnego nałożyła historia, ale bardziej rzucające się w oczy przez swą bolesną wyrazistość wspomniane nadwyżki i błędy zakamufłowane pod szyldem rygorów historii. One to człowiekiem z trudem niosącemu brzemień niełatwego życia dokładają jeszcze jeden, bezużyteczny społecznie, ale decydujący ciężar: człowiek łamie się, zrzuca całe brzemie i ucieka. Jest w „Przed potopem” taka scena, kiedy Liliana żali się ukochanemu, że cały nasz współczesny świat składa się z zakazów. Jest ich tyle, że człowiek sądzi, iż mający. Zaczyna się od najniewinniejszego „nie palić”. Potem w pasji wszystkie zakazy traktuje się jednakowo, jako jedno bezsensowne, dręczące nadużycie. Potem człowiek, pozbawiony umiejętności ustawiania proporcji, odrzuca również zakaz: nie zabijaj. Zabija. Czy ten problem istnieje jedynie w świecie kapitalizmu?

I to jest zasadnicze: oddzielić czyn przedziwny od plew, znieść raz na zawsze prosperię dla okólników urzędowych, politycznych, społecznych i moralnych. Stworzyć prosperię dla agitacji i argumentu. Tę prosperię dla okólników nazywam paradoksem: widzę w tym, poprzez uświatwienie zwiększenia odpowiedzialności jednostki przed społeczeństwem, faktyczne umniejszenie tej odpowiedzialności. Oczywiście, nie prawnej, nie sądowej, nie milicyjnej. Ta jest. Umniejsza się jednak odpowiedzialność moralną — ignoruje się jeden z ważniejszych trybunałów sprawiedliwości: sąd człowieka przed samym sobą, tę głębię wyboru, które my katolicy nazywamy sumieniem, ale które i bez nazwy nie są fikcją.

Przykład? Może to będzie przykład naiwny, dla mnie jednak bardzo bolesny. W jakiejś rozmowie prywatnej opowiadał mi pewna pani, lekarz - pediał, że dzisiaj osiemioletni małe, by usprawiedliwić swą nieobecność w klasie przez dwa, trzy dni, musi dostarczyć nauczycielowi normalne, urzędowe świadectwo lekarskie. Musi tam być stempek, podpis i te inne magiczne historie. (Magia dość łatwa do podrobienia, jak o tym świadczy nasza społeczna praktyka). Wpierw pomyślałem, na pewno zgodnie z intencjami autorów tegoż zarządzenia (mam przed oczyma wyobraźni trzy-arkuszowy okólnik) — tak jest dobrze. Wdraża się smarkacza do życia społecznego. Rygory, odpowiedzialność itp. Potem jednak, czego już autorzy zarządzenia nie uczynili, zastanowiłem się.

— Czy rzeczywiście dobrze? Jeżeli dziecko od pierwszych lat przyzwyczajają się do tego, że nie można zaufać ani jemu, ani jego rodzicom (za moich czasów ojcowie wpisywali usprawiedliwienia do tzw. dzienniczka), że nie liczy się słowo człowieka, ale magia papierka; jeśli skazuje się malca na zabójczy proces wystawiania z temperaturą w kolejkę do lekarza (nie zawsze i nie wszędzie lekarz może przychodzić do domu) — jeżeli nie człowiek się liczy, a zaświadczenie, czy to jest dobre? Czy to jest pedagogiczne? Czy to jest przede wszystkim umoralniające? Owszem, wówczas wyrasta w najlepszym razie człowiek bardzo zrygowany, ale nie bardzo ceniący samego siebie i swoje społeczeństwo. (Dla dziecka społeczeństwem jest rodzina). Błąd. Fatalne nadużycie rygoru odpowiedzialności społecznej. Na razie tylko błąd z zakresu normalnej pedagogiki. Czy nie popełniamy setek podobnych błędów w zakresie pedagogiki społecznej.

Ufam, że te wszystkie zaświadczenia, potwierdzenia, stempeki (nawnie nieufny i już rozbrajający zapobiegawczy jest na przykład kłopotliwy nakaz stemplowania delegacji służbowych w okienkach z biletami), że te wszystkie dodatki we uciążliwości w intencjach ich twórców mają być czymś w rodzaju pomocy dla człowieka: żeby nie skłamał, żeby nie oszukał, żeby nie zmarnotał, nie ukradł, nie zjadł, nie oblał. Za dużo tych ciotek. Józio zazwyczaj podpadał potem dom.

Chodził mi tutaj o niesłychanie podstawową i równie wysoce skomplikowaną kwestię samowychowania społeczeństwa w ogóle, młodzieży w szczególności. Jak wynika z dotychczasowej praktyki, my też szansy samowychowania ani społeczeństwa, ani młodzieży nie dajemy. Jest u nas szeroko rozbudowana instytucja kurateli: tak na przykład na polu organizacji młodzieżowych nad harcerstwem dzierży ją szkoła i ZMP, nad ZMP Partia, nad wszystkimi organizacjami samorządowymi młodzieży ZMP — i nie jest to opieka ściśle i wyłącznie ideowa, nie, u nas kuratela to aparat bardzo skrupulatnej, bardzo „administracyjnej” kontroli. Czy taką kuratelę, sam fakt jej istnienia można potępiać? Na pew-

no nie. Wyznaczyli tuż zasadniczo z prawidłowych przesłanek intelektualnych. Twierdzimy, że pełna atmosfera samowychowania może zapanować jedynie w społeczeństwie, a więc i wśród młodzieży wysoce postawionych ideowo. Tymczasem mamy do czynienia z młodzieżą bardzo zróżnicowaną, wśród której nie brakuje również jednostek wyraźnie wrogo nastawionych do ustroju, do rewolucji. Zaniedbać tutaj kontroli, zaniedbać nawet jej najbardziej administracyjnych form, znacząco stworzyć szerokie możliwości dla roboty jawnie dywersyjnej. Znacząco także: dać równe prawa oddziaływania jednostkom bezprowrotnie spaczonym, jak i jednostkom wartościowym, tzn. aktywnym, oddziaływania na wciąż bierny, wciąż niezdecydowany, a przecież niezwykle cenny tłum „tych trzech”. Inaczej mówiąc: przy obecnym stanie świadomości ideowej młodzieży (szerzej: społeczeństwa) heroizm, który jest dla uniesienia ciężaru naszej sprawy niezbędny, nie narodzi się żywiłowo. Trzeba go więc narzucić. Czy jednak da się narzucić? To znaczy: czy cnota symulowana przez długi okres czasu staje się wreszcie cnotą faktyczną? Powracamy do przykładu z osiemioletnim chłopcem: czy w tej atmosferze mniej lub więcej natrętnego wyręczania człowieka w jego problemach moralnych, on faktycznie rośnie? Czy rzeczywiście już dzisiaj da się wykluczyć problem samowychowania społecznego? Bo wiemy również z praktyki, że nie można nakreślić jakiejś wyraźnej linii demarkacyjnej między rozsądną opieką, między faktyczną poradą, pomocą udzieloną człowiekowi w jego poszukiwaniu prawdy a okólnikiem — zjawiskiem wdzierania się w kompetencje ludzkiego sumienia. Gdy wszystkie twardsze pokarmy będziemy dawać człowiekowi w postaci papki, człowiek straci zęby, a w każdym bądź razie nigdy ich sobie nie wyostrzy. I tutaj błędne koło się zamyka. Błędne, przypuszczam, że tylko w moim rozumieniu. Na razie stać mnie bowiem jedynie na postawienie tego areytrudnego problemu — stawiam go w nadziei wywołania dyskusji, która powinna go rozwiązać, a w najgorszym (dla mnie) wypadku wykaże jego fikcyjność. Stać mnie jeszcze na chyba słuszny apel o tropienie każdego wyraźnego nadużycia w zakresie naszej pedagogiki społecznej, nadużycia, które skrótowo nazywam uzurpatorstwem moralnym.

I tutaj suplement: z pewnością uzurpatorstwo nie przejawia się tylko w zakazach. Uzurpatorstwo da się wytopić w niejednym nakazie — głos opinii publicznej wylonili tu szereg nadużyć, których parada — jak w groteskowym teatrze — na zmianę ukazywałyby postaci to zaskakująco komiczne, to zaskakująco tragiczne. Korzystając jednak z prawa szkicu, chciałbym pozostawić zagadnienie za zaledwie tknięcie, zaledwie odsłonięcie, a być może, że wzbudzą one — moim zdaniem, konieczną — dyskusję.

Przypominam: zjemy w epoce wielkiej odpowiedzialności jednostki przed społeczeństwem, w epoce koniecznych, jeżeli chcemy pozostać godnymi siebie, wyrzeczeń i

(Dokończenie ze str. 3)

dzień nad czasem. Może skracać lata do jednego zdania, może wydłużać minuty na całe strony, może wracać w przeszłość, wybiegać w przyszłość. Inaczej człowiek w życiu. Ten musi każdą minutę przeżyć w sześćdziesiąt sekund, a każdy rok w dwaście miesięcy. Jednak i piosarza obowiązują pewne prawa dyktanda czasu. Czas ten można by nazwać czasem artystycznym utworu. Prawa owego czasu wynikają stąd, co pisarz chce powiedzieć i co powinien powiedzieć swoim utworom. Niekiedy wynikają również stąd, czego pisarz nie chce powiedzieć. I tak jest właśnie w „Obronie Grenady”.

Pomijając okresem, gdy „Grenada” dostała nagrodę państwową, a okresem, gdy znów podjęto w niej próby „Łaźni”, leżą lata o największej dynamice dziejowej zarówno dla osób z kregu opowiadania, jak i dla nas wszystkich. Były to lata Wielkich Zmian. Przejawiały się z intensywnością świadomych uczestników Historii. Każdego dnia wychodziliśmy im naprzeciw i śledziliśmy je czujnie, by nie uronił żadnej z nich. Czyż można sobie wyobrazić, by był ktoś wśród nas, kogo zmiany te dotyczyły (a wszak dotyczyły one wszystkich), kto by przez te lata stracił kontakt ze swoją „Grenadą” i przestał obserwować doktora Faula? Przeciwnie, zaciętniejszy kontakt z życiem, a doktor Faula obserwowaliśmy pilnie; jak się zachowa, gdy za węgłem każdego dnia czekała go dialektyka argumentów nieprzewidywanych. Obserwowali go wszyscy: i Piotr, i Wojnar, i Just, i Julka Glińska nie było wśród nich nikogo, kto by taktycznie poszedł do domu, by przepaść te lata i obudzić się dopiero wówczas, gdy będzie już po wszystkim, gdy będzie już wszystko dobrze.

„Wolałem o tym nie myśleć” — mówi Brandys. Nie wolno było o tym nie myśleć. Również nie wolno o tym nie myśleć temu, kto wolał o tym nie myśleć temu, który powinien myśleć i czuć, jeśli nie

ofiar, w epoce silnego napięcia moralnego. Te rzeczy musimy przyjąć i zrozumieć. Są słuszne, prawdziwe, patetyczne. Surowość epoki stwarza jednak azyl dla uzurpatorów — niekiedy tylko ludzi niezręcznych, nierzadko złych. Uzurpatorstwa jednak nie uniesiemy. Nie uniesiemy go zwłaszcza młodzieży, tak bardzo kochająca prawo wyboru, prawo do zaufania i tak bardzo nienawidząca moralności urzędasów — moralności z okólnika.

Fanfan. Ten bardzo szlachetny kobieciarz, bardzo pozytywny zabijaka, ludowy chuligan ma w sobie coś sprzecznego, coś, co fascynuje. Tym czymś jest tak bardzo charakterystyczny dla bohaterów ludowych dwugłus wolności i swobody. Wolność to treść jego czynów: zawsze przechylająca się w stronę dobra, zawsze moralnie zwycięska. Swoboda to forma, to kształt: wymyślna, awanturnicza, romantyczna. Dlaczego ponury chuligan z elektrycznych kolejek kochają szlachetnego Tulipana? Właśnie za ten urok swobody, biorąc go mylnie za pojęcie wolności, za właściwą treść postaci Fanfana. Dlaczego dopuszczają się tej oczywistej pomyłki?

Rewolucja przyniosła nam niezależność człowieka, jego podstawowych potrzeb materialnych, od skomplikowanej i nieodrobnie działającej maszyny ekonomicznej kapitalizmu, wolność od nędzy i głodu, od kryzysów gospodarczych, wolność do pełniejszego rozwoju umysłowości ludzkiej. To w ramach doczesnego porządku bardzo wiele. To właściwie pełnia. Jeszcze pozostaje rozszerzenie tak pojętej wolności o wciąż wzrastającą konieczność zaspokajania wciąż nowych potrzeb społeczeństwa — ale decydujący krok został postawiony.

Jak mówiliśmy, nie ma wolności dla wrogów Rewolucji, wciąż istniejących wewnątrz i zewnątrz kraju — to rozumiałe. Niezbędna jest czujność — to też rozumiałe i potrzebne.

Tutaj jednak czas na przypomnienie kapitalnej humoreski Mroźka pt. „Pomnik Partyzanta”. Z konieczności streszczam tę perlektę satyryczną po łebkach, niechluśnie, za co najmocniej przeproszam autora.

Otóż, w pewnej szkole nauczyciel mówił dzieciom o Wiosnie Ludów. O dziwo, mówił tak pięknie i porwająco, że maluchy postanowiły po lekcjach udać się z kwiatami pod stojący w miasteczku pomnik bohatera tamtej rewolucji. Uformowały pochód i poszły. Na widowni pojawił się jednak urzędas, który wiedziony czujnością nie mógł uwierzyć, że dzieci samorządnie i tak po prostu pragną oddać hold Nieznanemu Rewolucjonistom. Zażądał od uczniów jakiegokolwiek, choćby najbiedniejszego papierka, legalizującego oficjalnie tę żywiłową demonstrację. Gdy po perypetiach papierka nie otrzymał, a dzieci pomimo wszystko złożyły kwiaty u stóp Partyzanta, zaważyły się fundamenty urzędasowego światopoglądu.

Rzecz kończy się groteskową konfrontacją urzędnika socjalizmu z wyniosłym pomnikiem Rewolucjonisty.

za miliony, to przynajmniej za tydzień. Nie wolno tak powiedzieć piosarzym, którego zawodem i funkcją społeczną jest myślenie o tych sprawach, o sprawach najtrudniejszych. To właśnie znaczący wymiary sprawiedliwości minionego czasu. Zamiast tego jednak czytamy: „W ciągu trzech następnych lat straciłem kontakt z Grenadą”.

To nie jest tylko skrót kompozycyjny. To jest ucieczka, unik przed historią, strach, by nie być zmuszonym pisać o tych trudnych sprawach, gdy oficjalnie ich wykładali jeszcze nie ma. To takie przykre, zapominajmy o tym, udajmy, że tego nie było. „Wolałem o tym nie myśleć”.

Ale jest w owym uniku kompozycyjnym również drugie dno. Będzie mowa o doktorze Faulu.

Przypomnijmy sobie w jakim momencie autor znów wraca do doktora Faula. Jest rok 1955. Gdy rozszła się wiadomość o próbie samobójstwa Piotra, doktor Faul „był w tym okresie szczególnie zajęty”. „Sekretarka odpowiedziała, że doktor jest na konferencji... W ogóle wszyscy byli diablenie zajęci.” Doktor Faul od złych spraw „Grenady” uciekł — w nową dziedzinę aktywności. Wyjeżdża, organizuje sieć teatrów wiejskich. „Jego czas jest (ciągle jeszcze) na wagę złota”. Wreszcie pisarz przylapuje go, by ukazać go w momencie, gdy doktor Faul zdolał sytuację opanować. „Na akademii ku czci Tomasza Manna uprawił w podziw salę wyborną znaną jomością literatury niemieckiej. Mówił półtorę godzin. Zawsze potrafił zmusić do uwagi swoim drewnianym głosem, trzeba mu to przyznać”. Czy czucie dysproporcji zdarzeń? Co teraz kaze autor chłopcom z „Grenady” i czytelnikom „Obronę” podziwiać w doktorze Faulu? Dobrą znajomością literatury niemieckiej? Umiejętnością przemawiania? Autor chce mówić nam, że pamięć ludzka jest tak krótka, iż bohaterowie jego nie będą doktorowi pamiętać spraw z lat 49—53 i zgodzą się skwitować to wszystko jakimś nieszkodliwym przewidyaniem „Faul”, tak jakby ich życie, mło-



Henri Matisse

Macierzyństwo

Chodzi mi znowu o wtórne do poprzedniego, już dzisiaj rzadziej występujące, ale nadal aktualne zagadnienie niebezpieczeństwa przedradania się czujności w nadzurność, a z kolei w panikarstwo, śmiertelnie zagrażające poczuciu swobody współczesnego człowieka. Swoboda, jak powiedziałem, w moim rozumieniu jest kształtem, o prawą wolności. Prawdziwie swobodny może być tylko ten, kto czuje się prawdziwie głęboko wolnym. Swoboda nie jest, jak do dzisiaj sądzą bracia Mroźkowi urzędas, przyczynkiem do anarchii — to piękna i szczególnie właściwa młodzieży skłonność manifestowania wolności. Owszem, można nazwać swobodą również tendencję chuligana do rzućcia butelek na głowach przechodniów, ale jest to przede wszystkim nadużycie wolności — i gdy został dokonany zły wybór, towarzyszy mu także złe pojęcie, nadużycie prawo do swobody.

Młódzież jednak spotyka się zbyt często z ograniczaniem swobody w ogóle i — może właśnie dlatego, biorąc z Fanfana tylko jego fanfaronadę, uważa ją za ostateczny, doskonały wyraz wolności.

Tysiąc razy wymyślane ankiety nadal nie straciły swej tajemności. Nadal panoszą się urzędnicza pasja wszystkichowidzy, wtykania paluchów w każdy zakamarek człowieka, w jego stosunki rodzinne i niemal pociowe. Nadal w hotelach procedura meldowania przypomina metody Inkwizytorów. Nadal, przy nieraz zatruwającym blachych sprawach, po dziesięć razy dziennie trzeba komuś, przed czymś nosom wymachiwać dowodem osobistym. Nadal w prowincjonal-

nych hotelikach (znowu hotel!), wśród nocy przychodzi milicja sprawdzać czystość pociową lokatora lub lokatorki, nie zważając na to, że komuś paskudnie przeszkadza w odpoczynku. Nadal w „Orbisach” nie wolno grać w bridaż, a w ogóle nie wolno rozbijać wyścigowych namiotów bez zezwolenia właściciela łaki, nadleśnictwa czy podleśnictwa. Nadal nie można wejść do żadnej prawie instytucji bez przedstawiania się, przepuszczenia, karty wstępu itp. Znowu tony papieru, papieru, papieru. Ograniczenia, zakazy, tablice ostrzegawcze. A chuligaństwo i prostytucja jak nie mały tak nie małe. Tylko coraz bardziej ztracana się dobry, radostny smak życia.

Jak bardzo to zawężenie intymności człowieka, wyeliminowanie z naszego życia każdej, nawet najmniejszej tajemnicy, jak bardzo zrygowanie naszego życia wpływa z kolei na kształt miłości, na kształt moralności pociowej wśród młodzieży, jak bardzo sprzyja (choć nie musi) narodzinom cynizmu i zniechęcenia — to dalsze problemy, do których wrócimy już innym razem. Problemy również istotne.

Nie wysyłałem sobie tych żalów z pałca: próbowałem wylonić je ze spowiedzi wielu różnych spaczonych, różnie zniechęconych i bolesnych chłopców i dziewcząt. Nie, nie pozbawiałem im. Zresztą nie są zadowoleni z siebie. Szukają wyjścia, ale forpoczą biurokracji, forpoczą uzurpatorów, nowe tony niepożrebnych ciężarów odstręczają ich, wciąż powstrzymując poza granicą naszej surowej, ale dumnej epoki.

„Obrona”

Powrócił. To jest efekt drugiego aktu obrony doktora Faula.

CZYTELNIK po drugim akcie przypomina autorowi, że jest coś takiego, jak rozumienie procesu historycznego. Jest to podobno warunek realizmu dzieła literackiego. Czy możemy mówić o rozumieniu procesu historycznego wówczas, gdy autor na trzy lata traci kontakt z historią? Nie, nie możemy mówić. Toteż nie rozumiemy zmiany losów bohaterów, nie rozumiemy również zmiany ich postaw. Dlaczego się zmienił? Dlaczego dziś Wojnar może tak opowiadać, co przekonał Piotra, jakie argumenty znalazł, by podjąć znów próby „Łaźni”? Tego nie rozumiemy. Ze co, że beriowiczyna, że to jest w podtekście, że czytelnik już wie? Owszem, czytelnik wie to i owo, w podtekście można umieścić np. okoliczności zwolnienia Glińskich. Ale nie można do podtekstu przenieść przeobrażenia myśli i uczuć bohaterów, jeżeli w pierwszej części opowiadania myśli były przytoczone, a argumenty wyłożone dookładnie. Jeśli teraz sytuacja się zmieniła, to trzeba z tamtymi argumentami podjąć dyskusję. Trzeba pokazać proces przeobrażenia, proces zmian społecznych i psychicznych. Inaczej owe zmiany wydadzą się dziełem czynnika pozazmysłowego. Ot, minęło trzy lata i ludzie się odmieleni. Tak nie było.

W „Odwiły” Erenburg dla rozwiązania sytuacji nakreślonej w opowieści sygnał do zjawisk z dziedziny meteorologii: do burzy, która zniszczyła baraki mieszkalne, a razem z nimi zniszczyła również pozycję dyktora Zurawlewa. Zarzucano wówczas Erenburgowi, że dla korekty zjawisk społecznych wesał siły pozaspołeczne. Ale jak w takim razie ocenić sposób, w jaki Brandys przedstawia zmiany, które wprowadziły korektę do działalno-

tego autor nie chciał pokazać, gdyż wówczas doktor Faul nie mógłby już nikomu zaimponować nawet znajomością literatury niemieckiej, nie mógłby już więcej nikogo przekonać, nie mógłby powró-

EPITAFIUM ROMANTYKI

PAMIĘTACIE nieczłowieka Patkiewicza, któremu na widok baronowej Krzeszowskiej celowo i rozmyślnie opadała szczerka, co czyniło go podobnym do trupa? Pamiętacie studentkę sylwistki literatury realistycznej — królującą na poddaszach cyganerii wiecznie zalegającą z czymś za swoje królestwo — pamiętacie chudych, kryjących ręce po kieszeniach, żyjących z korepetycji, wybiadanych młodzieńców? Potencjalnych geniuszów i rzeczywiście grublików. Grzulić była niemal fakultetem. Pamiętacie „romantykę” tygodniowy cukru trzymanego w trupich główkach, nędyż życia ukrywając „wieloznaczny humorem i niewyczerpaną pomysłowością”? Można by długo mnożyć literackie figury wielkiej bezdomnej zgrai „przyszłości narodu”, można sięgać bliżej korzystać z relacji starszego pokolenia. Dziś Patkiewiczowi opadają szczerka ze zdziwienia, „abyśmy oprowadził go, tak jak mnie oprowadzono przed kilku dniami, po studenckim Ośrodku Zdrowia. Dziś Patkiewicz grywałby w studenckim teatrze satyryków i może... może z należą niechętnie opłacać 15-złoty czynsz za Dom Akademicki.

Grzulić, „Kiedy w r. 1951 objęliśmy studencką Poradnię Przeciwgrzulić — mówi dr Wójcickiewicz — mieliśmy zaledwie 3/10 kartotek, z czego 250 to były „martwe dusze” — studenci, którzy przegrali studia lub dawno przegrali je studentami. Jeszcze w tym roku podnieśliśmy liczbę objętych badaniami do 1200. Dziś Przychodnia pracuje pełną parą. W roku akademickim 1951 — 52 — studentów, u których stwierdzono bądź to grzulić czynną, bądź wymagającą tylko obserwacji, wynosił 6,3. W roku 1954 zmalał do 4,9% a w bieżącym roku akademickim będzie jeszcze mniejszy. Wciąż zwiększa się systematyczność i zasięg badań. Systematycznymi badaniami objęte jest przeszło 90% młodzieży. Dziesięć procent „wymyka się” — jak mówi dr Wójcickiewicz. Sprawa jest ważna, gdyż opanowanie choroby w początkowym stadium nie nastęrcza współczesnej medycynie wielkich kłopotów. W ciągu kilku dni od chwili wykrycia student poddawany jest leczeniu przy pomocy nowoczesnych środków. Wymykają się studenci lekceważący wartość kontroli stanu zdrowia albo ci, którzy coś podejrzewając boją się przzerwiania studiów czy ich zupełnego porzucenia. O tych „wymykających się” jeszcze za chwilę.

Grzulić posiada dziś na świecie bardzo wdzianą koniunkturę do leczenia. W Polsce w tej chwili procent zgonów wskutek grzulić wynosi 5,1 na 10 tysięcy (w krajach skandynewskich ok. 2%). To naprawdę mało w porównaniu z plorami, jakie zbierała grzulić jeszcze kilka lat temu. Najbliższe lata wraz z rozwojem stopy życiowej powinny przynieść niemal jej całkowite opanowanie. Grzulić przestała być chorobą studencką. Procent zachorowań na grzulić nie odbiega od innych chorób. Największy jest na pierwszym i ostatnim roku. — Skutki dużego wysiłku. O tym również za chwilę.

Praca Przychodni? Okresowe badania maobrazkowe, szczepienia tuberkulinowe. Praca ta często wybiega poza środowisko studenckie. Dr Wójcickiewicz wyciąga na chyblił trafiał jakąś kartotekę. W czasie badań rentgenowskich stwierdzono grzulić u studenta X. Wywiad nie przyniósł rezultatu. Według zapewnienia chorego nikt w rodzinie nie chorował na tę chorobę. Nie poprzestano na tym. Do Poradni przeciwwgrzulić w Częstochowie, skąd pochodził student, skierowano pismo z prośbą o wezwanie i przebadanie rodziny chorego. Dr Wójcickiewicz pokazuje pismo Poradni przeciwwgrzulić w Częstochowie. W wyniku badań stwierdzono grzulić u obojga rodziców studenta. W domu jest jeszcze jego siostra — kilkulatka dziewczynka. Ją uchroni się od zarażenia. Front walki z grzulićą wybiega daleko poza ulicę Mochnackiego.

Wyjątkowy ruch panuje dzisiaj w Dziale Organizacji i Toku Studiów U.W. Tu można ogądać na własne oczy owych „wymykających się” spod Rentgena. Dziś właśnie wypłaca się stypendia. Niestety wielu odedzieje z kwitkiem a raczej po kwitek stwierdzający spełnienie obowiązku poddania się badaniom maobrazkowym. Ta sankcja zmusza nawet najbardziej niechętnych nowoczesnym zdobyciom medycyny do znalezienia się jeszcze tego samego dnia przed obliczmem dr Wójcickiewicza. W najbliższym czasie zostaną wprowadzone specjalne wkładki do indeksu, gdzie zozwane będą badania lekarskie.

Na poziom zdrowia młodzieży składa się wiele spraw. Może jedną z najważniejszych jest dobór kandydatów. Roia komisji lekarskich kwalifikujących na studia wyszce wzrasta z roku na rok. Chodzi po prostu o to, by studia rozpoczęli ludzie zdrowi, zdolni znieść ciężar bądź co bądź pięcioletniego wysiłku. Chodzi również o jak najlepszy dobór kandydatów na poszczególne sekcje w zależności od stanu zdrowia, o to by — powiedzmy — pediatry nie studiowali człowiek zagrożony grzulićą. Czasem jednoroczne odłożenie studiów może znaczyć wiele — komisjom lekarskim nie chodzi o dane prawa silniejszym, ale jedynie o mądre gospodarowanie zdrowiem. W tym roku po raz pierwszy selekcję na studia wyszce prowadzić będą komisje lekarskie przy poszczególnych uczelniach — pozwoli to na jak największe przystosowanie warunków zdrowia do kierunku studiów. Mówiąc o kandydatach dotykamy zresztą szerszego problemu — poziomu ogólnego młodzieży. Jak wskazują badania, największy procent zachorowań notuje się na pierwszym roku. Dlaczego tak się dzieje? Stan zdrowia młodzieży przychoadającej na studia wykazuje często niedostateczną opiekę szkoły średniej w zakresie pomocy lekarskiej a szczególnie stomatologicznej. „Przychodzi do nas taki chłopczyk” — mówi dr Swiderski — „i na 32 zęby, jakie posiada, 32 wymagają leczenia. Kłną więc nasi dentyści w żywy kamień i latają zdrowie tych, co już, niekoniecznie na nauce, żeby zjedli”. Zaniedbania te sięgają również hi-

gleny osobistej. „Mamy takich, którym na przykład trudno wmowić konieczność mycia zębów. Nie myłem i nie będę mył”. Ponieważ osiemnastolatka jest znacznie trudniej nauczyć tego, czego nie nauczyło dziecko, należy chyba zżyć szkołom podstawowym więcej troski o higienę osobistą dzieci. Duży procent zachorowań na pierwszym roku to jednak nie tylko wynik słabego stanu zdrowia. To w dużym stopniu rezultat słabego przygotowania kandydatów do studiów. Jest sporo takiej młodzieży, która kosztem ogromnego wysiłku wyrównuje braki szkoły średniej, siedzi po nocach i w rezultacie pada ofiarą ciężkich schorzeń. Jak widać, wiele spraw nieswoich musi brać na swoje konto lecnictwo studenckie.

Na tym nie wyczerpują się przyczyny dużego odsetka zachorowań wśród „pierwszorzoczników”. Trudno nie wspomnieć o programach. Wszyscy zgodnie stwierdzają, że przysłowiwa twardego dyscypliny studiów znacznie złagodniała i wciąż przeprowadza się rewizję dotyczących, nieraz bezmyślnego przeciążenia studentów zajęciami. Natomiast słabą stroną programów jest ich techniczne ułożenie. „Okienko” w wykładach teoretycznych wystarczające do zjedzenia obiadu, w praktyce nie wystarcza, gdyż odległość uczelni od stołówki jest często pokazana szczególnie dla człowieka nie wdrożonego w tajniki warszawskiej komunikacji. Trzeba nieść jak największą pomoc młodzieży na pierwszym roku trochę oszołomionej zmianą środowiska, zdanej nagle na troszczenie się o siebie, dalekiej jeszcze od wprawy w godzeniu studiów z wypoczynkiem. Tej młodzieży, często bezradnej, przytoczonej nawałem nowych spraw i zajęć trzeba pomagać najbardziej.

Domy akademickie, stołówki — wszystko, z czego składa się życie

studenta na codzień, to też spory wycinek problemu zdrowotności. Pisano o tym wiele, zagadnieniom bytowym młodzieży poświęcono w ubiegłym roku sesję MRN-u. Domy akademickie cierpią głównie na brak urządzeń higienicznych (ciepła woda, łazienki) i sportowych. Wiele do życia pozostawia higienę. Warszawska służba zdrowia przeprowadza lustrację domów studenckich i stołówek. „Domy akademickie są zradiofonizowane, pozwalają nam to ogłosić po dokonaniu kontroli, że w pokoju takim a takim wskutek notorycznego niechlujstwa zalegają się pluskwy. Kontrolujemy również stołówki akademickie. Cichutko wieczorkiem przychodzi się znielacka, no i zastaje się — powiedzmy — brudne kotły po zupie a pomysłowa kucharka tłumaczy, że następnego dnia w tym kotle też będzie się gotować zupę, po co więc myć? Taka pomysłowość kosztuje 200 złotych.” W bieżącym roku akademickim przeprowadzono w Warszawie już ponad trzydzieści takich kontroli. Bojąć się studenckiego wyżywienia jest brak stołówek dietetycznych — lekarze skarżą się na częste choroby przewodu pokarmowego wśród studentów. W Warszawie rozwiązano tą sprawę przernaczając część stołów w stołówce turystycznej dla dietetyków.

„Oprócz kontroli domów studenckich i stołówek” — mówi dr Swiderski — „przeprowadzamy również lustracje pracowni i zakładów na uczelniach technicznych. Dowiadujemy się, że pracownia fizyczna nie ma linoleum. Macie tu na podłodze kopalnię rtęci — oświadcza wtedy inspektor służby zdrowia, żądając ułożenia niezbędnego linoleum”. Specialną pomoc Ministerstwa Zdrowia (mleko, dodatkowe oświetlenie) otrzymującą tzw. ciężkie wydziały.

Jak przedstawia się dotychczasowy rozwój lecnictwa dla studentów? Co można powiedzieć o poziomie zdrowotności wśród młodzieży szkół wyższych? Jak wyglądają nowe zadania lecnictwa studenckiego? Odpowiedzi na te pytania szukam w rozmowach z lekarzami warszawskiego ośrodka.

Systematyczny planowy rozwój lecnictwa studenckiego datuje się od roku 1951, kiedy to Ministerstwo Zdrowia objęło studentów opieką na równi z pracującymi w przemyśle. Z roku na rok wzrasta wskaźnik objętych badaniami: 52/53 — 62%, 54/55 — 79%. W roku akademickim 54/55 objęto opieką lekarską ponad 144 tysiące studentów i pracowników nauki. We wszystkich większych ośrodkach istnieją w tej chwili gabinety analityczne, rentgenowskie, stomatologiczne, prądnie przeciwwgrzuliće i domy profilaktyczne. Brak ich jeszcze ciągle w Szczecinie, Gliwicach, Wrocławiu. To niezwykle ważna forma pomocy młodzieży zagrożonej — umożliwiają jej studia w lepszych warunkach (mieszkanie, wyżywienie). Sprawy tych domów porusza uchwała kolegium Ministerstwa Szkół Wzyszych. Jak mówił mi dr Paczynski, konsultant Ministerstwa Zdrowia do spraw młodzieży akademickiej, w ostatnich dniach zorganizowano taki właśnie dom profilaktyczny w Gdańsku. Wspomniłem o uchwale kolegium. Najważniejszym jej momentem jest zainteresowanie poszczególnych uczelni sprawami zdrowia studentów i obowiązek ściślej współpracy ze służbą zdrowia. Praktycznie współpraca ta zamyka się w organizowaniu izb chorych i przychodni podstawowych przy każdej uczelni, kontroli stołówek i domów studenckich, rozszerzenia akcji czasowo-wypoczynkowej, wreszcie propagandy

Problemy wczorajsze i problemy dzisiejsze

(dokończenie ze str. 4)

nie były bardziej zagłodzone niż ciela? Dalej p. Olszewski pisze: „W ramach „historycznego myślenia” nie będziemy organizować krucjaty, przeciwko mahometanizmowi”. Krucjaty z bronią w ręku na pewno już nigdy i przeciw nikomu. Tu właśnie pozwala nam patrzeć z otuchą w przyszłość, że choć katolizmy spłynął się i wynaturzył w masach, ogromnie dojrzał w jednostkach mających nad dawnymi chrześcijanami tę niezastąpioną przewagę, że na wskazania ewangeliczne mogą spojrzeć poprzez dwudziestą wiek historycznych doświadczeń. Doświadczenia te każą pamiętać o Chrystusowych słowach wyrzeczonych w Ogrójcu do porwyconego Piotra: „Schowaj swój miecz do pochwy. Kto mieczem wojuje, ten od miecza zginie”.

A jednak nasze czasy zdają się walczyć o krucjaty — z tą tylko różnicą, że pokój — o niestrudzone apostołstwo ludzi przekazywanych o tym, że retunek dla świata leży w Ewangelii w stopniu nie mniejszym niż na początku naszej ery. Krucjaty nie wśród mahometan czy pogan, nawet nie wśród ludzi wyznających światopogląd materialistyczny, lecz właśnie wśród samych chrześcijan. Zadanie to jest teraz trudniejsze, niż było za pogańskich czasów, gdyż wtedy słowa Apostołów były czymś tak wstrząsającym nowym, tak zupełnie niepodobnym do wszystkiego, co słyszano się przedtem, że albo się je przyjmowało z tą głęboką radością, jakiej doznaje człowiek, kiedy z ciemności wyjdzie na światło dzienne, albo też za nie kamienowano i krzyżowano, widząc w nich groźny zamek na nieograniczoną wolność używania, na prawo wyznoszenia się nad drugiego człowieka i wręgnięcia go w swą szubę, na prawo do zemsty. Obecnie „dobra nowina” nie jest już rewelacją, ludzie się z nią osłuchali i chyba łatwiej nawracają pogan, jak przekonać pozomych chrześcijan, że to, co się im chry-

stianizmem wydaje, jest zaledwie jego ubogą namiastką, nierzadko jego karykatura. Cóż z tego, że państwo przeprowadza zakrojone na wielką skalę reformy społeczne mające do podstawu do sprawiedliwego stosunku człowieka do człowieka, jeśli człowiek pozabawiony moralnych skrępułów na każdym kroku potrafi znaleźć sobie sposobność, aby drugiego ośzukać, zepchnąć nieudale powieszoną mu pracę, skrzywdzić fizycznie i moralnie lub bodaj zastruci swą nienawiścią? Postęp moralny, „zacofany” nie tylko z racji swej trudnej natury, lecz także i dlatego, że co najmniej od lat stu stał się kępcuszkim, na prawo nikt nie zwracał uwagi, urasta w naszych oczach do rangi naczelnego problemu naszych czasów. I temu właśnie musimy oddać nasze siły — jeśli w nadchodzącą erę atomową chcemy patrzeć bez trwogi.

Eugenia Kącwa

doktora Faula

ści doktora Faula, a które nastąpiły tak, jakby to się działo na skłonie różdżki czarodziejkiej? Burza mieści się chociaż w granicach natury różdżki czarodziejskiej już raczej poza nie wykracza.

Akt III

ATOR: rozpoczyna obrony Faula akt trzeci. Zwróćmy uwagę na to, z kim rozmawia, na kogo oddziałuje, kim kieruje i przez kogo kieruje doktor Faul robiący w kulturze. Są to chłopcy z zespołu „Grenady” oraz podwładni doktora: Miernik, Swalkowski, Rena Szulc. Dalej istnieją jeszcze marginesowo krytycy, prasa, zorganizowana widownia. To wszystko żyje w kręgu władzy doktora Faula — pośredniej lub bezpośredniej. Poza tym kręgiem kręca się panowie z brodkami. Ten zespół osób wyczerpuje rzeczywistość społeczną „Obrony Grenady”. Z układu owego zespołu wynika, że dyskusję doktor Faul może prowadzić tylko z ludźmi z „Grenady” — do czasu, póki nie staną się wydziałem IOK-u. Z mierników przecież nie będzie dyskusował — nie przedstawiają żadnej siły społecznej. Panowie z brodkami są ex definitione z dyskusji wyeliminowani.

Na scenie teatru „Grenada” grają więc właściwie dwie postaci: doktor Faul i grupa trzech młodych ludzi. Poza tym istnieje próżnia społeczna. W takiej konfrontacji zwycięstwo doktora Faula jest łatwe do przewidzenia. Doktor Faul zwycięża, lecz głównie zaślgi jego sukcesu należą się reżyserowi.

Potem przyszedł inny czas. Doktor Faul wzmocniona aktywnością w dziedzinie znajomości literatury niemieckiej usiłuje odzyskać twarz. Zespół „Grenady” przechodzi proces odrodzenia. Ale mimo tych zmian

próżnia społeczna naokoło tych dwu postaci istnieje nadal.

Powstaje pytanie, kto bez blichtru pozornych argumentów, w codziennym trudzie dnia powszedniego będzie rewolucję realizował. Okazuje się, że są znów tylko dwie postaci: doktor Faul i trzej z „Grenady”. Lecz czyż Piotr, Just i Wojnar mogą podjąć ten ciężar? Oni są zaledwie mądrzejsi o doświadczenia jednego okresu. A więc — logika brardysowej reżyserii działa nieodparcie — pozostaje doktor Faul. Nie potrzebuje on nawet ubiegać się o to — rewolucja sama przyjdzie do niego, by złożyć ten mandat w jego ręce.

A jeśli tak, jeśli doktor Faul okazuje się niezastąpiony, to można teraz podjąć od nowa problem oceny rewolucji, centralny problem tematu. Umocniwszy swego bohatera autor problem ten podejmuje. Kto ma prawo współczuć ludziom z kręgu „Grenady”, kto ma prawo podać im rękę, by nie byli w swej pracy samotni, jak na poprzednim etapie? Kto ma prawo oceniać rewolucję i osądzać jej błędy? O centralny problem sprawy nie tylko „Grenady”.

I tutaj okazuje się, po co autorowi potrzebna była reżyseria pustej sceny. Z jej peryferii wyciąga teraz czarnego luda i woła: „Patrzcie, to oni upominają się o prawo oceny rewolucji”. Oni, panowie z brodkami, z latami na lokciach, przekupki, które bojkotują program teatru „Grenada”, ci wszyscy chcą oceniać rewolucję i osądzać jej błędy. Owszem, „mają, mają z sobą część prawdy... ale nie upadajmy tak nisko, by usprawiedliwiać z błędów przed kupcem”. I aby brzmiało to bardziej przekonująco autor wkłada gorące, żarliwe słowa w usta Piotra, Jacka i Olka, którzy przepędzają nimi złe duchy z brod-

kami precz ze sceny. A kysz, a kysz! Teren zostaje oczyszczony.

Wież ktoś ma prawo oceniać rewolucję i osądzać jej błędy? Odpowiedź jest już łatwa. Prawo do oceny rewolucji mają ludzie z kręgu rewolucji. A to w interpretacji autora oznacza doktora Faula i zespół z „Grenady”. Just i jego przyjaciele rezygnują jednak z tego prawa. „Nie mamy czasu — mówią — prawda jest teraz przed nami.”

A więc kto pozostaje, kto ma prawo oceniać rewolucję? Było to jasne od początku: doktor Faul jest powołany do oceny rewolucji i osądzenia jej błędów, swoich błędów! Tak brzmi wynik aktu trzeciego i ukoronowanie całego dzieła obrony doktora Faula.

CZYTELNIK skromnie zapyta autora: przepaszam, a gdzie jest w opowiadaniu bohater pozytywny? Kto sprawił, że Grenadecy, nawet w okresie największego upadku oficjalnych sukcesów, zawsze czuli, że ich obuda i zakłamanie to jest obuda i zakłamanie, czuli, że ich dobrą wiarę ktoś wkałkował do zimnego rachunku? Czyja siła moralna sprawiła, że dobro i zło, prawda i fałsz nie były nigdy bez reszty pomieszane?

Bohater pozytywny był — nie w opowiadaniu, lecz w prawdziwym dramacie „Grenady”. Ale siła jego oddziaływania jest widoczna nawet w „Obronie Grenady” właśnie przez to, że go tam nie ma.

Przypomnijmy sobie, co było tym stałym wyrzutem sumienia dla zespołu teatru w okresie całego programu od „Brygady Szturmowej” do „Inżyniera Marka” — pustosząca do życia widownia, ta nieorganizowana pustosząca widownia, ci ludzie, którzy wychodzili z teatru. A więc jednak w teatrze czuli wszy-

scy, że istnieje gdzie indziej, poza doktorem Fauliem źródło oceny ideowo-moralnej i artystycznej wartości wystawionych sztuk. Było jasne dla wszystkich, że źródło to innymi kieruje się kryteriami oceny niż doktor Faul. Było również jasne, że autorytet tamtych ocen wbrew demagogicznemu przemówieniu Piotra, wbrew wysiłkom prasy i oficjalnej krytyki, jest zupełnie innego rzędu, jest nieskończenie wyższy niż autorytet doktora Faula.

Czyj to był autorytet, czyjez to były oceny? Na kolumnie „Po Prostu”, na której drukowana jest „Obrona Grenady”, redaktor umieścił reprodukcję obrazu Marka Oberlanderera „Lewolucja 1905”. Na tle kominów i budynków fabrycznych znaczących horyzont nieprzebrany tłum ludzi, robotników. Na pierwszym planie dają się jeszcze wyróżnić indywidualne postacie, potem morze gładki, ludzi. Dobrze się stało, że ten obraz jest tam reprodoukowany. Czytelnik z ulgą przenosi wzrok z tekstu opowiadania na obraz. Jak dobrze, że tak dużo ludzi! Jak dobrze, że pusta scena jest tylko fikcją reżysera. Oto masy, oto prawdziwe siły rewolucji.

Tu znajdujemy odpowiedź na pytanie: czyj to autorytet przeciwstawił się doktorowi Faulowi. Był to autorytet mas, autorytet opinii publicznej, autorytet narodu budującego socjalizm.

Ale tego pozytywnego bohatera nie ma w opowiadaniu. Działano przez swą nieobecność. Natomiast na pustej scenie autor stawia oko w oko z doktorem Fauliem izłowianych młodych inteligentów, pozabawionych oparcia w masach, czyniąc z nich łatwy luf jego sofizmów. Jednak reżyseria autora obowiązuje tylko na jego scenie, natomiast w życiu jest inaczej. W życiu społeczeństwo nie składa się wyłącznie

z doktora Faula, chłopców z „Grenady” i panów z brodkami. W życiu jest jeszcze naród kierowany przez siły rewolucji. I na prawdziwej scenie ludzie „Grenady” znajdują oparcie, czerpią swe siły z doświadczeń narodu, jego dażeń i pragnień. To jest zaplecze rewolucji.

A jeśli tę drobną korektę wprowadzimy do reżyserii autora, to zmieni się zupełnie układ sił. I na pytanie, kto ma prawo oceniać rewolucję, odpowiedźmi: NAROD MA PRAWO OCENIAĆ REWOLUCJĘ.

Naród jest rewolucyjny. Słowa o klasie robotniczej, o sojuszu robotniczo-chłopskim, o masach pracujących nie są tylko frazesami, choć wytarły się nieco od codziennego używania. One wyrażają rzeczywistość. Naród kierowany przez partię klasy robotniczej jest twórcą rewolucji i jej jedenastu lat osiągnieć. Naród jest za rewolucją, buduje nowe ustrój sprawiedliwości społecznej —buduje socjalizm—nie dlatego, że był poddawany fałszywym metodom doktora Faula, jak również nie przestanie budować socjalizmu, gdy na jednym z etapów metody te zbankrutowały. Naród jest za rewolucją, gdyż wyraża ona jego najgłębsze interesy. Faulowie przychodzą i odchodzą, a naród pozostaje twórcą dzieła rewolucji.

Z narodem trzeba rozmawiać. Nie jest to prawda, którą dyskredytuje to, że ją wymawia Rena Szulc. Nie jest to prawda na przyszły tydzień, lecz na epokę. Doktor Faul nie rozmawiał z narodem i stąd jego pozorna wielkość, ale stąd też jego klęska.

EPILOG

CZY pisarz nie ma prawa napisać tego, co chce, tak jak chce, tak a nie inaczej przedstawiać postać? Czy czynić mu z tego powodu zarzuty, to nie jest stanowisko wszytkoizmu? Owszem, pisarz ma prawo — pod warunkiem, że dzieło jego będzie tym, czym jest, a nie będzie próbowało udąć, czym

walki o zdrowie (włącznie z zastosowaniem sankcji karnych w wypadku uchylania się od obowiązkowych badań).

DR Swiderski oproważa mnie po warszawskim ośrodku przy ul. Mochnackiego. Właśnie dobiegają końca prace przy uruchamianiu 50-łóżkowego szpitala. Czyste i jasne korytary, nowoczesne aparaty. Żałuję, że się na tym nie znam, żeby móc o tym szerzej napisać. Odróżniam wprowadzić Rentgen od strzykawki i kwarcewkę od lancetu, ale mówić z zacnymtami o tych blyszczących cackach nie potrafię. Boję się, że przy następnej wizycie sympatyczny doktor gotów mi za pomyłkę zaaplikować plikanie żołądka, co podobno nie jest sympatycznym zabiegiem.

„Żeby tak jeszcze trochę mieszca” — skrzy się doktor. Lokale to największy brak lecnictwa akademickiego. Ministerstwo Zdrowia przydziela sprzęt, którego często nie ma gdzie ustawić. Doktor prowadzi mnie z zadziwiająco szybkością po coraz to nowych salach. „Tu Rentgen, jeszcze go pan nie widział? To Wójcickiewicz się nim nie chwalił? Gabinet fizykoterapii, sala operacyjna”. Docieramy wreszcie do kartoteki. Przypomina to biblioteczny katalog. Ten „chrobotzbiór”, jak chrzczę go na miejscu, liczy 50 tysięcy kartotek — plon dotychczasowej działalności poradni. Ludzie kryjący się za tymi kwadratami kartonu to przyszły inżynierowie, nauczyciele, prawnicy, rozsiadli już może po fabrykach, szkołach i hutach nawet nie pamiętający, że kiedyś wpisano ich do takiej czy innej karty. Lecnictwo akademickie w Warszawie udziela dziennie około 2500 porad. W ostatnim mroźnym okresie opatrowano 50 wypadków odmrożeń wśród eleganatów gardzących nausznikami. To ostatnie ślady „romantyki”. Już innej.

Wracam wolno rozmyślając o Patkiewiczu. Patkiewicz umarł, umarła romantyka młodu romantyka nędyż. Romantyka ludzi skazywanych na stylizację własnego życia według jedynych możliwości. To była romantyka jakąś obnoszących wianse kalejką jak obnosi się modę. Tej śmierci nie żałuję.

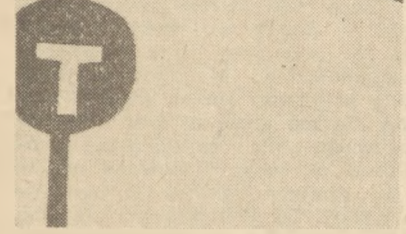
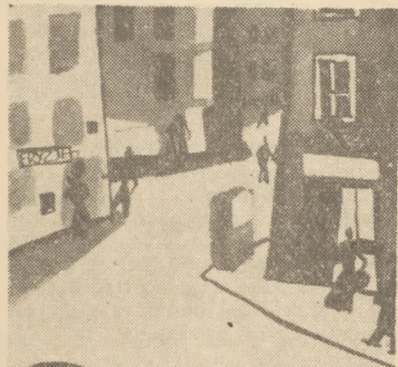
nie jest. Jeśli nie jest oddaniem sprawiedliwości, to nie jest oddaniem sprawiedliwości. Jeśli nie może unieść ciężaru oceny rewolucji, niech nie dźwiga.

Poza tym pisarz ma prawo do wszystkiego. Wprawdzie w jednym z Instytutów Organizacji Kultury wprowadzono takie ograniczenia dla pisarzy realizmu socjalistycznego: realistyczna koncepcja rzeczywistości, pogłębiona psychologia postaci, rozumienie procesu historycznego. Ale przypuścmy, że ograniczenia te wprowadził doktor Faul... Stawiamy sobie pytanie: jeśli Brandys chciał obronić doktora Faula, to po co w ogóle pisał opowiadanie? Czy nie lepiej byłoby dla doktora Faula, gdyby nie pisano o nim? Nie można było więc nie pisać. Powstał bowiem kompleks doktora Faula. Ale niestety jest dr Faula uniewinniać. Raz po raz wstaje ktoś z „Grenady”, jakiś Piotr, Jacek czy Olek i mówi: a jednak dr Faul powinien odejść.

Stefan J. Rykowski

Redaguje Zespół Prenumerata miesięczna 2 zł kwartalna 12 zł Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 tel. 8-80-11 (15) Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze Zakłady Drukarskie i Włókiendrukarskie RSW Prasa w Warszawie 100000 3/5. Zam. 390 B-7-23017

CZĘŚCIOWA POCHWAŁA CHULIGANSTWA



DOSYC obojętnie, a nawet z niechęcią patrzę zwykle na praktyki zawodowych recenzentów, jeśli w analizie książki dzielą oni ułot na wiele części i rozkładają na czynniki pierwsze każdy aspekt utworu. Nie znaczy to doprawdy, bym nie doceniał społecznej i artystycznej roli krytyki literackiej. Ale jak każdy przeciętny konsument kultury bardziej wiem, czy mi się dany utwór podoba, czy nie, niż dlaczego tak jest. I nie bardzo lubię, kiedy mi zbyt szczegółowo tłumaczą, dlaczego to, co mi się nie podoba, jest ładne, a to, co daje mi prawdziwe wzruszenia, jest rzekomo słabe. Wolę recenzje krótkie i problemowe, a nie takie, w jakich gustuje mój cenny przyjaciel, krytyk — Zygmunt Lichniak. On lubi długie, wyczerpujące, szczegółowe, a zarazem problemowe, docierające do wszystkich nerwów artystycznych i politycznych utworu. Takie jest jego upodobanie i prawo krytyka.

Ja jestem szczęśliwie (dla mnie) w innej sytuacji. Dlatego nie będę — więcej: nie ośmieliłbym się — pisać recenzji z powieści „Zły” Leopolda Tyrmanda. Jeśli postanowiłem jednak w formie felietonu napisać parę słów na jej marginesie, to stało się tak z dwu powodów. Pierwszy jest jasny: powieść jest frapująca, podobna mi się, jak —



to już kwestia, o której zaraz nieco powiem. Drugi powód jest równie ważny: po prostu Tyrmand jest — a jak on sam sądzi: był — przyjacielem mojego przyjaciela, pewnego wybitnego polskiego liberała w stanie chwilowego spoczynku politycznego. Przyjaciele naszych przyjaciół itd. — sami wiecie, co to znaczy. A że redakcja jest też libe-

ralna, teraz to modne, więc łatwo mogłem napisać.

Tyrmand wydał ostatnio książkę współczesną. Splotają się w niej dwa nurty: jeden, polega na artystycznym obrazie dzisiejszej Warszawy, drugi, na wielkiej fikcji literackiej osnutej wokół problemu chuligaństwa.

Skrótnym zdaniem konsumenta literatury pięknej uważam, że bardziej zwycięsko wyszedł autor z opisu swojej miłości do rodzinnego miasta, niż z uporania się z problemem chuligaństwa.

Warszawa w powieściowej wersji Tyrmanda jest prawdziwa, codzienna. Autor dlatego dobrze uchwycił Warszawę, że nie tylko opisał miasto, domy, przebudowę, ale przedstawił ulicę, typ spotykanego na niej człowieka, sposób jego wymowy — od młodych chuliganów pod kinami poczynając, przez Koszyki, ciuchy na Pradze, robotników w autobusie warszawskim, atmosferę kawiarni „Lajkonika” na Placu Trzech Krzyży, tęgiego wąskiego portiera w „Rarytasie”, sklepy prywatne w Alejach itd., itd. Ulica i ludzie Warszawy pokazani są w ruchu, jak w filmie. Akcja książki od pierwszych stron przykuwa mnóstwem znajomych realiów misternie związanych z wielką fikcją literacką podziemnie zorganizowanego świata przestępczego i samotnego bohatera „Złego”, który na własną rękę podjął walkę o spokój w mieście.

Słyszałem zdanie, że w książce Tyrmanda za dużo jest zbytniego sentymalizmu i nieco cięłego zachwytu Warszawą. To prawda. Stolica ma swoje brzydkie strony i z tym wszystkim — a może jak zwykle: i dla tych cech — warszawiacy tak ją kochają. Tyrmand zaś nie tylko kocha, ale stałe się zachwyca, „można kochać nie zachwycając się. Zachwył autor obejmuje w Warszawie wszystko, tak że książka jest także częściąową pochwałą chuligaństwa jako stylu ulicy warszawskiej. Ale opis realiów, niezrównany wator konkretności, jaki uchwycił autor, przeważa szczegóły, które można by wytknąć. Krótko mówiąc, warszawiak czyta w książce Tyrmanda o swoim mieście z ciętą przyjemnością i z zaciekawieniem, cieszy się spotykając rzeczy znajome, codzienne. Tyrmand odniósł wielki sukces opisu. Barwność, rozmach, mistrzowskie spleć realiów z fikcją wielkiej organizacji świata przestępczego budzi zaufanie do rzeźmiasta literackiego Tyrmandy. Jędrny, dobrze podchwyciony język warszawskiej ulicy to dobra strona powieści. Wprowadzie redaktorzy „Ekspressu Wieczornego” mówią tu czasem tym samym językiem, co męty wielkomiejskie, ale widać, że jest to w ujęciu autora świadome. Pewne powiedzonka chuliganów kinowych często przyjmują się poważnie i operuje nimi poważna część przechodniów warszawskiej ulicy. Ale dotyczy to tylko części tego bogatego języka, który Tyrmand, tak jak „oprychówki” i inne elementy klasycznego ubioru chłopców z ulicy, dobrze i z zamiłowaniem przestudiował i polubił. W tym też widać miłość autora do swego miasta.

Dosyć jednak tych komplementów, trzeba bowiem powiedzieć całą prawdę: nawet o książce przyjaciela naszych przyjaciół. Tyrmand w przedstawieniu problemu chuligaństwa pokazał cały swój rozmach i łut pisarza, który może jeszcze wiele nam dać. Ale poniosł to także pewną klęskę intelektualną i artystyczną. Polega ona na tym, że dając realistyczny obraz — mimo wielkiej fikcji „Złego” — chuligaństwa w Warszawie, nie ukazuje jego przyczyn, nie przekonuje epilo-

giem walki z tym zjawiskiem społecznym. Na 679 stronach współczesnej powieści o młodzieży, o chuligaństwie, świecie przestępczym, o walce z nim, Tyrmand nie wymienił ani razu słowa — partia, zas nazywa organizację młodzieżową ZMP wprowadzając wymienia, ale w okolicznościach nieważnych i w sposób marginesowy. Ten unik ideologiczny jest jeszcze szerszy. Tyrmand także pomija Kościół, jego rolę wychowawczą, pomija szkołę, dom, jakiegokolwiek zróżnicowanie klasowe czy środowisko swoich bohaterów. Pomija spuściznę wojny, okupacji, pomija społeczne konsekwencje rewolucyjnej przemiany społecznej, w ogóle pomija wszystkie, co może zawierać pierwiastek czy zabarwienie ideologiczne. Oczywiście, uważam, że słuszne, że „dobry odwilż” pozwoliła na wydanie książki Tyrmandy w „Czytelniku” w roku 1955. Powieść ta mówi o pisarzu dużych koncepcji, dobrego języka, niemałych ambicji twórczych. Ma ona pewną dobrą funkcję społeczną. Są w niej artystycznie udane elementy zaufania do prawa i państwa, jest pokazana całkiem szeroko rola milicji, praworządności, ładu społecznego. Wcale często pojawia się dobry człowiek, dobry pracownik, powiedziałbym: człowiek socjalistyczny, choć autor go tak nie nazywa. Wszystko to wygląda bar-



Rys. Gabriel Rehowicz

do pięknie, ale jak na kilkaset stron powieści współczesnej — o wiele za mało. „Zły” jest czymś więcej niż dobrze skonstruowana, ale beztreściowa kryminalna czy sensacyjna powieść. Ale znaczy mniej, niż można było oczekiwać po koncepcji artystycznej zakrojonej na tak dużą skalę. W tym grubym tomie zawarto za mało treści — takie wrażenie odniosłem po przeczytaniu „Złego”. Oczywiście nie chodzi o to, żeby dyktować autorowi gotowe recepty i koncepcje. Tylko jeśli ktoś zabiera się do tak arcy-społecznego zagadnienia, jakie stanowi problematyka „Złego”, to niech wie, że ogólnikami sprawy przekonująco artystycznie nie złatwi, że koncepcję artystyczną musi wesprzeć o jakiś ideał moralny, społeczny, ideologiczny.

Być może, trudno wytykać komuś, że nie zajął stanowiska, skoro go zająć w ogóle nie chciał. Koncepcja „Złego” jest bardzo świadoma, zakres jej współczesności i elementy społeczne celowo ustalone i rozłożone. Tyrmand napisał zapewne to, co chciał. Ale to właśnie przesądziło rangę jego powieści. Nie uratował jej ani urok wielkiej fikcji, ani przez kilkaset stron nie

znany bohater — „Zły”, ani świadczący o niemałej wrażliwości artystycznej opis miłości autora do Warszawy. Ranga artystyczna powieści jest gdzieś ponad zwykłą książką sensacyjną, ale też wiele niżej od udanej artystycznie powieści zawierającej prawdę moralną i ideową o współczesnym człowieku. Tyrmand ulokował powieść swoją gdzieś w środku. „Zły” może sobie pozostać w tym środku, gdzie będzie czytelnika w miarę wzruszał i bawił. Ale Tyrmand musi iść dalej. Ma za dobre pióro, żeby mógł pozwalać sobie tylko na ideologiczne uniki. Powiem teraz rzecz straszną w dobie wieloletniego wotania o powieści współczesne. Lepiej będzie jeśli Tyrmand znajdzie sobie mniej współczesną problematykę, a nawet, o zgrozo, jeśli ucieknie na grunt bardziej abstrakcyjny społecznie, niżby miał te uniki ideologiczne stosować dalej. Myślę, że po tym zdaniu narazem się wszystkim, a głównie Tyrmandowi. To też wyjaśnię, że tę propozycję ucieczki traktuję jako ostateczną, ale niego wyjęcie i to nie wyjęcie ideowe, a właśnie pozwalające na gruncie bardziej oderwanym oprzeć się o jakieś artystycznie ujęte ideały moralne czy społeczne. Myślę, że tą drogą bardziej można zbliżyć się do sztuki postępowej niż powieścią współczesną z unikiem ideologicznym. A Tyrmand w każdym razie powinien pisać.

I jeszcze kilka słów dla przyjemności — oczywiście mojej. Najbardziej przywiązałem się do trzech bohaterów powieści (o bohaterkach nie wspomina, a obie są frapujące) — do „Złego”, postaci tytułowej, do prezesa spółdzielni „Woreczek”, Filipa Merynosy, oraz detektyna amatora, buchaltera Jonasza Drobnika. Zauważmy, jak autor postacie te zaplanował, a jak one wypadły, to też ma swoją wymowę artystyczną-ideową, potwierdzającą, jak sądzę, moją ogólną opinię o książce. „Zły” — Henryk Nowak pasowany przez Tyrmandy na człowieka bohatera. Tajemniczy „Zły” walczy przez całą powieść samotnie o spokój w mieście, stając się symbolem. Ale też pozostaje on symbolem po wyjaśnieniu wszystkiego, jest jakiś nieuchwytny, były wyga i nawet zbrodniarz nawrócony, bohater cudaczej walki o spokój przez turbowanie warszawskich rozrabiaczy. Postać ta ma duży urok. A jednak co najmniej równowagę ją wspinała zarzysowana psychologicznie postać Filipa Merynosy — woda przestępczej Warszawy. To jest prawdziwy „Zły”, to on wyraża wolę, siłę, spryt i inteligencję człowieka obróconą dla złej sprawy. Filip Merynos imponuje swą konsekwencją w przestępstwie. To niewątpliwie najsilniejsza, najlepiej zarzysowana postać książki. I wreszcie Jonasz Drobnik — detektyna amator, starszy pan w meloniku, który urlop spędza na nieproszonej współpracy z milicją i wychodzi z tego obronną ręką. Ta postać wspaniale ubarwia powieść, ale też znakomicie zamętnia motywację ideową walki o spokój w mieście. W sumie pocieszające jest głównie to, że wielka postać złej sprawy uległa — mało wprawdzie przekonywująco — bohaterom sprawy słusznej.

Wyobrażam sobie, jak wszystko to, co tu napisałem, rozłożył Tyrmand, jeśli oczywiście zechce moim felietonem przeczytać. Całe wmaneurowywanie go w ideologiczne będzie mu pewno nie w smak. Niech się więc pocieszy moim przeznaczeniem go do prawdziwej sztuki, a ta w epokach przełomu, jak wiemy, najczęściej lubi poślubić wielkie idee.

O mentalności Lucjanów de Rubempré

Jerzy Stadnicki

NA dzisiejszy felieton zaplanowany był dalszy ciąg zagadnień lekarskich. Tym bardziej, że już po napisaniu ostatniego dowiedziałem się o faktach, które nie tylko potwierdzają tezę o rozburmianieniu pacjentów, ale dowodzą, że tę plagę można zwalczyć tylko piętami, tj. odpowiednim systemem represyjnym. Każdy, kto zetknął się z leczeniem współczesnym, wie, jak wielki odczuwany brak urządzeń fizyko-terapeutycznych. I oto paniusia, zapytana przez pielęgniarkę, czy odczuwa poprawę w dziesiątym dniu nagrzewaną diatermią — odpowiada zdumionym głosem: — Nie mogę odczuwać poprawy, bo nigdy nie byłam chora. Biore diatermię, bo wolę grać się u pani, niż nudzić się w ciuonym mieszkaniu.

Tak odpowiadała ta kretynka, sabotażystka, złodziejka społecznego czasu, kosztownego aparatu i prądu, który musimy oszczędzać. Iak bezymyślnie postępują setki ludzi, przez których niewinne tysiące czekają na miejsce w szpitalu, umierają bez pomocy lekarskiej lub znośną gorsze do śmierci meczarnie. Tak będzie się działo dopóty, dopóki jeden szkodnik porządnie nie beknie. Bo nie ludźmy się, że całe zło na świecie da się wypienić łagodną perswazją. Kto tak myśli, myśli kategoriami Deotyimy. Kto sądzi, że sabotażysta, chuligan lub pijak zmieni się pod wpływem napisów, broszurek lub ustnej nagany, ten wykazuje rozeznanie społeczne na poziomie pań z Armii Zbawienia, które chciały zważyć Hitlera za pomocą pogadanek z przeźrocza-mi.

D'atego napisałem, że paszożyty leczenia można i trzeba ukrócić, podając do wiadomości publicznej ich nazwiska, filmując ich, nade wszystko zaś — sypiąc bezitołnie grzywny. Dlatego sądzę, że wobec niektórych form bisurmanstwa — nie tylko w leczeniu — należy zaostriżyć tzw. kurs. Dlatego ucieczyłem się słyszając, że MRN w Braniewie ukarała pijaków przymusowym zamiataniem ulic. I dlatego zmartwioł mnie, że ta pożyteczna inicjatywa spotkała się z ostrym protestem „Matej Kroniki” w „Zyciu Literackim” nr 213.

Pocieszam się jednak myślą, że „Zycie Literackie” jest redagowane przez młody zespół, że „Mała Kronika” redaguje zapewne jeden z najmłodszych redaktorów i że nawet źle pojęty humanitaryzm jest najpiękniejszą przywarą młodości. Ale ponieważ wszelkie słowo pisane ma jakąś siłę oddziaływania a pijacy mogliby niepotrzebnie się krępić notatką redaktora „Matej Kroniki” — postaram się sprostać w niektórych jego sądy, nim to uczyni on sam za lat dwadzieścia.

Redaktor „Matej Kroniki” nie-słusznie nazywa zamiatanie ulic pracą upokarzającą. Krzyk grozy „mój Boże, w jakim czasie my żyjemy!” — można by zastosować do niego. Piszący te słowa, z zawodu literat, z wykształcenia lekarz, wielokrotnie zamiatal śnieg przed domem, wynosił kubły ze śmieciami itp. i nie uważa się za upokorzonego. Zna też jednego z (obecnych?) ministrów, który własnoręcznie przynosił węgiel z piwnicy, by nie fatygować żony, ani matki staruszki. W takiej burżuazyjnej Francji można często oglądać dystygnowanych starszych panów, zbierających z jezdni nawóz, do swego działkowego ogródka. I w ogóle: im wyższy stopień kultury — tym mniej zajęć hańbiących. Oczywiście, młodzi pisarze mają najczęściej mentalność Lucjanów de Rubempré, uważają, że luksus jest synonimem

kultury. Ta mentalność stanowi nawet ich wdziek, jak stanowi o urroku bohatera „Straconych złudzeń”. A-e trzeci kiedyś z niej wyrusną, jak z krótkich spodenek.

Redaktor „Matej Kroniki” nie-słusznie przeprowadza analogię między zamiataniem ulic a piwaniem heretykami na stosie i piwaniem czarownic. Gdyby miał rację, Zakład Ocyszczania Miasta byłby kontynuacją Gestapo. To przesada.

Dlategoż widać, spyta redaktor „Matej Kroniki”, MRN w Braniewie uczyniło z zamiatania ulic katorgę? Cieszę się, że tak pyta. To dowodzi, że zaczyna myśleć. Z zamiatania ulic czyni się katorgę dlatego, że ta czynność, podobnie jak czyszczenie kanałów i pobieranie opłat w WC należą do prac n i e p r z y j e m n y c h, choć, jak to nazywają Francuzi, najzupełniej „h o n o r a b i e”. Zeby się jasnej wyrazić: przyjemnie być redaktorem naczelnym „Zycia Literackiego”, niż redaktorem „Matej Kroniki”, przyjemnie być reaktorem „Matej Kroniki” niż sprzątaczką w redakcji, ale praca sprzątaczką n i e j e s t h a n a b i a c a.

Czy godzi się zmuszać pijaków do zamiatania ulic swego miasteczka, „na oczach rodziny, znajomych itp.”? Godzi się. Godzi się w myśl zasady prawa karnego, że kara wtedy jest najbardziej wychowawcza, kiedy sama przez się usuwa skutki przewinienia. Otóż działalność pijaków polega w dużej mierze na zaśmiecaniu ulic, tłuczeniu butelek, wymiotowaniu itp. Śluzne jest więc, by się w tym babrał nie kto inny, lecz oni sami.

Czy represja ta będzie skuteczna? Oto czwarte i najistotniejsze pytanie. Otóż — sądząc z gwasiołności sprzeciwu — będzie. Jeżeli ludzie tak strasznie wstydzą się zamiatania ulic „na oczach rodziny i znajomych”, to strach przed tym wstydem powstrzyma ich od urządzania burd pijackich. Oczywiście, wstyd jest rzeczą względną. Ja np. wstydzę się pijaństwa jako takiego, toteż się nie upijam i nie potrzebuję się obawiać, że ktoś mnie zobaczy z miotłą w ręku.

Reasumując: karanie pijaków przez zamiatanie ulic nie jest ani upokarzające, ani antyhumanitarne, ani tkwiące w średniowieczu. Ale nawet gdyby tym wszystkim było, to dlaczegoż mielibyśmy się tak bardzo litować nad pijakami, którzy się wcale nad nami nie litują? Jestem przekonany, że MRN z Braniewa nie chodziła po domach i nie wyciągała z nich alkoholików, pijących spokojnie do lustra. Na pewno zajęła się chuliganami, terroryzującymi ludzi pracy, stare kobiety i małe dzieci. Twierdzą to na podstawie obserwacji warszawskich, wrocławskich, częstochowskich, tarnowskich, krakowskich. Pijacy i chuligani niebywale się rozpamiętali i nie jest przesadą powiedzieć, że terroryzują społeczeństwo. Idąc z żoną około północy na dworzec Główny w Krakowie, zastanawiałem się dokąd iść, na widok 10-20 „osobowatych” kordonu rozwrzeszczanych i rozrzyganych młodzieńców, sunących tyralierą przez całą szerokość Plant i zaciepiających kobiety napulgawszymi wyrazami. I z takiej racji mam znośić coś podobnego w jedenastej lat po ukończeniu wojny? Dlatego mam wyżej stawiać pijaków i ich domniemany honor, od honoru mojej żony, matki lub siostry? A choćby własnego? Przecież wiecie, że cytowany przypadek nie jest ani wyjątkowy, ani przejawskrawiony. Przecież wiecie, że dzieje się tak i gorzej. Ze widok pijaków, wzburmianych się placić za bilety, obrażających konduktorki, zaciepiających nawet mężczyzn, jest widokiem powszednim, którym karmi się nasza młodzież. Czy trzeba dodawać, jaką ilość wypadków, chorób, kalectw, zniszczonego majątku narodowego — powoduje alkoholizm? Czy trzeba pisać, że to wszystko dzieje się właściwie bezkarnie, bo pijacy popierają się nawzajem a imię ich legion, bo pijak cieszy się sympatią i niemal opieką polskiego społeczeństwa, bo zwalczanie pijaństwa rozbija się o tę zasadniczą przeszkodę, że Zrzeszenie Pijaków Polskich ma swych ambasadorów na wszystkich szczeblach aparatu zwalczającego.

I znalazła się odważna i mądra MRN w Braniewie, znalazł się ktoś, na czyją część można by wybić medal „supere auso” — i już jest najgorzej zwalczany przez redaktora „Matej Kroniki”. Zaprawde, tylko młodość może usprawiedliwić taki brak odpowiedzialności. Tylko chęćka odpuszczenia mogła podsygnować tak bezymyślną notatkę. Tylko niezbyt naukowość może wysuwać propozycję zwalczania chuligaństwa za pomocą przymusowego leczenia pijaków. Wyobrażam sobie uciechę chuliganów, prowadzonych na przymusowe szkolenie grzesności.

A represje karno-administracyjne? Widzimy, jak zdąży egzamin. A dlaczego? Bo, jak napisano powyżej, pijacy są mafią popierającą się nawzajem. Trzeba zwalczać zło taką bronią, na którą jest ono wrażliwe. Krętek błady boi się penicyliny, lasecznik Kocha — streptomycyny, pijak — wstyd. Taką już ma naturę, że nie wstydzi się leżeć w kałuży na oczach całego miasta, a wstydzi się zamiatać jego ulicę. Więc trzeba właśnie karać mu zamiatanie ulic. W skórę bić tam, gdzie najbardziej boli.

ZBIGNIEW KUTHAN

O „Złym” — źle i dobrze

W LATACH 1933—39 działał w Warszawie niejaki Adam Nasielski, autor kilku tuzinów powieści kryminalnych drukowanych nakładem wydawcy Cukrowskiego. Książki te („Strzał”, „Pociąg w nieznane”, „Człowiek z Kimberley” — oto ich wzorcowe tytuły) zyskały sobie wówczas znaczną poczytność. Posiadały pewną zabawną cechę charakterystyczną, która zapadała w pamięć trwalej niż ich konkretna treść. Pisane były one mianowicie z jakąś fałszywą „elegancją”, sztuczną nonszalancją i udaną oryginalnością. Autor pozował na głębokiego znawcę wszelkich rzeczy ziemskich, a bohaterów swych kreował na ludzi błyskotliwych i „światowych”.

Powieści Nasielskiego zostały czytane niemal doszczętnie. Nie mogę przeto drogą analizy porównawczej dowiedzieć, jak wspaniale odróżnił się ich gatunek w potęgnej, liczącej 678 stron (w siedmiu częściach z epilogiem) książce Leopolda Tyrmandy pt. „Zły”.

Dziwna ta książka warta jest z pewnych względów obszerniejszej dyskusji. Jej publikowany niedawno w prasie fragment wzbudzał raczej zaciekawienie. Było tam bystro podpatrzono środowisko handlarzy biletami do kin, dobrze uchwyciony obrazek z codziennego dnia warszawskiej ulicy. Razil natomiast emfaticzny styl i nadużyte słowa.

W swej ostatecznej postaci u-

twór Tyrmandy jest epopeją o szajce warszawskich gangsterów i „klubie ludzi sprawiedliwych”, którzy pod wodzą „Złego” wydali przestępcom prywatną wojnę o „spokój w mieście”. Należy dodać, iż „Zły” jest sam skruszonym i pokutującym eks-opryszkiem.

Kryminalny wątek powieści nie jest oryginalny ani pomysłowy, ani konstrukcja. Sensacyjna fabuła rol się od jawnych niepodobieństw, wystarczy wspomnieć nadużycie klasycznego chwytu bohaterów starego Karola Maya, którzy o knowaniach przeciwników dowiadują się przez podsłuchiwanie ich rozmów, co im się zawsze udawało. Owa potężna doza niemożliwości budzi chwilami wręcz podejrzenie, czy Tyrmand nie zamierzał ośmieszyć detektywnej konwencji, sam się nią na pozór posługując. Hi-potezie tej przeczy jednak wyraźna wola autora traktowania awanturycznych perypetii zupełnie serio.

Książka ma również ambicje jakiegos współczesnego warszawskiego eposu, dedykowanego miastu i mieszkańcom; opisom kawiarni i restauracji towarzyszą żartobliwe apostrofy do fryzjerów i kelnerów, przekazano też sporo autentycznych szczegółów warszawskiego szlafażu.

Te najkrócej zestawione autorskie zamiary zrealizowano jednak z nieznosną manierą. Styl „Złego”

przypomina swadę kawłarnianego retora, o ludziach tak mówiących powiadają w Krakowie — „tupeciars”. Zastanawia wprost, skąd tyle tej pozy, którą autor właśnie w swej książce, dobrze przecież różnioma i innych. Kunsztowne barokowe zdania, których Tyrmand z upodobaniem używa, są często niedbalstwem, wymyślnym porównaniem brak nieraz zwykłej logiki — ich celony po prostu nie pasują do siebie. Swoją styl narzuca autor wszystkim niemal postaciom. Zarówno „Szaja” (wg podanego na okładce spisu ról — „drań”), redaktor Edwin Kolanko, przez Merynos, oszust Męteor, jak historyk sztuki Marta Majewska — mówią kwiecistymi okrasami.

Książka Tyrmandy irtuje faktem, iż mogłaby się stać utworem zupełnie poprawnym i sensownym, gdyby jej sam autor nie „położył” brakiem krytycyzmu. Bo problem jest jak na utwór „długometrażowy” nowy, Tyrmand przejawia erudycję i rozeznanie w specyfice warszawskiego półświatka i handlarzsko — kryminalnego podziemia, trafnie odnotował gwara. W powieści jest nastroj warszawskich ulic, wiedza o mieście i prawdziwy do niego sentyment.

I tu pozwolę sobie na apostrofę i ja — pod adresem wydawnictwa, które prosi czytelników „o nadesłanie uwag o przeczytanej książce”. Otóż nie trzeba wielkiej

erudycji, aby uchwycić śmiesznośćki i potknięcia Tyrmandy. I jeśli książka obnosi również nazwisko jej „redaktora”, to winien on autorowi po prostu pomóc. Z prawa do tej ingerencji redaktorzy korzydzali do niedawna w sposób absurdalny, niechże zaczną korzystać w sposób rozsądny.

Ow najkrócej sformułowany powyżej pogląd na literackie oblicze powieści Tyrmandy nie wyczerpuje jednak refleksji wywołanych jej lekturą. Bowiem ten pisarski — w znacznym stopniu — „niewypał” jest jednak celnie ciśniętym kamieniem w zabagnienia naszej problematyki społecznej.

Zacznę od przykładu: oto powieść Tyrmandy obfituje w okrutne, pełne sadyzmu sceny krwawych bólek, w których ludzie ludziom miadzją kości, z premedytacją wbijają zęby i oczy, spychają się pod rozpedzone pociągi. Ponure to i odrażające. Ale prawdziwie. Autor miał prawo o tym pisać, ponieważ tak właśnie było i nikt się tym publicznie nie raczył zająć.

W mieście naszym działy się rzeczy straszne, częściowo dzieją się i dziś. Tysiące spokojnych ludzi padło ofiarami rabunków i napaści. Sprawa urosła do politycznego skandalu, co trafnie ujął Jasienica w słynnym artykule publikowanym w „Świecie”. Zaczęła się wreszcie przeciwalka, i dziś wiemy jasno, że winne były władze po-

rządkowe, winne sądy, winna prasa.

Szczególnie prasa. Z konwencją patrzania na różowo rozstawano się nader opornie. Zdarzyła mi się historia, że gdy w poczytnym piśmie — zamieszczając opis bestialskiego napadu — zacytowałem artykuł: „Od chuligaństwa do bandytyzmu” — tytuł okazał się zbyt drastyczny. Bandytyzmu bowiem ciągle oficjalnie „nie było”.

I tu wypada wyrazić Tyrmandowi uznanie. Swoją ogromną, choć „stoniowatość” książkę pisał chyba bardzo długo. Pisał ją więc wtedy, gdy inni woleli nie ruszać „śmierdzącego” tematu wybierając łatwiejsze. Tkwi w tym niewątpliwie zasługa, uczciwa, pożyteczna intencja.

Jest w „Złym” dobry moment, gdy dziennikarz Kolanko rozmawia z oficerem milicji, który powiada: — „Ważne jest to, co my tu wiemy i myślimy, a nie to, co zostało wydrukowane w gazecie. Prasa jest w tym wypadku jedynie środkiem taktycznym”. — „Brak panu odpowiedzialności za drukowane słowa” — odpowiada na to dziennikarz — „Jest ona prawem naszego zawodu. I dlatego mogę napisać zgodnie z prawdą lub wcale”.

Do rzeczy oczywistych dochodzi się czasem najpóźniej. Czasem drogo to kosztuje. Ale lepiej jest dojść późno niż wcale.